

TOMASZ KAMIŃSKI

POLOWANIE



Copyright © 2020 TOMASZ KAMIŃSKI
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright © 2020 WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: AGNIESZKA SZMATOŁA

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

DTP: PATRYK LUBAS

Wykonanie ilustracji okładkowej: PIOTR SOKOŁOWSKI

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

WYDANIE I

ISBN 978-83-66328-04-4



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA S.A.

TOMASZ KAMIŃSKI

POLOWANIE

Redakcja
AGNIESZKA SZMATOŁA



KRAKÓW 2020

*Dziękuję czterem niezwykłym kobietom,
dzięki którym ta nadzwyczajna podróż nie byłaby możliwa.
Mamie, za to, że zawsze mnie wspierała.
Pani Basi, za to, że była boginią, która uczyniła ze mnie stal.
Niebieskiej Wiedźmie za jej czary.
I pewnej uroczej szeptuszcze z Rzeszowa, za wszystko,
co dostrzegła w moim pisarstwie.
Gdziekolwiek jesteś, jakąkolwiek drogę obrałaś,
życzę Ci, abys była szczęśliwa.*

1 POTWÓR Z BAGIEN

Grupa dzieci bawiła się jak co dzień na skraju wioski, w pobliżu ogromnego dębu. Było to wielkie drzewo, o białej niczym kość korze i wiecznie czerwonych jesiennych liściach. Mieszkańcy wierzyli, że miało moc szczególną, magiczną. Wyrosło długo po wojnie Złamanych Różdżek i nigdy nie gubiło listowia. Wierzono, że jest tworem woli istot wyższych, darem zesłanym im przez bóstwa opiekuńcze mieszkające na mokradłach. Drzewo to pojawiło się nagle, pewnej nocy, której ciszę rozdarł ohydny ryk, tak głośny i przerażający, że wyrwał wszystkich mieszkańców ze snu. Bagniarze, zebrawszy się w kupę i chwyciwszy za broń, ruszyli sprawdzić, z jakiego potwornego gardła dobieły się tamte dźwięki. Gdy przybyli na miejsce, ujrzeni jesienne drzewo, którego wcześniej nie było, oraz umykającą w dżicz czarną kreaturę. Drzewo musiało tu zatem wyrosnąć z woli bogów i swoją błogosławioną mocą odgoniło potwora, zanim ten dokonał spustoszeń w wiosce. Uznali to za znak, że bogowie czuwają nad nimi cały czas – mimo że, jak wszyscy inni, i oni już dawno zamilkli – a majestatyczne drzewo, dla którego trwała wieczna jesień, uznali za święte i przepelnione mocą.

Często przyprowadzali dzieci na skraj wioski, by pod okiem dorosłych, w cieniu magicznego drzewa, łaska i opatrzność bóstw spływały na nie. Ponieważ od tamtej pamiętnej nocy drzewo w żaden sposób nie zmanifestowało swojej mocy, a sami mieszkańcy zaczęli powątpiewać w jego cudotwórcze zdolności, to miejsce na obrzeżach wioski z czasem zaczęło funkcjonować jako nieformalny plac zabaw. Trudno było na Upadłych Mokradłach o drugie takie miejsce, gdzie dzieci mogły bawić się swobodnie, nie myśląc o tym, czy przetrwają na moczarach, i bez ciągłego słuchania o Rygorze i jego prawach

związanych z Bóstwami Opiekuńczymi. Była to dla nich istna enklawa spokoju, gdzie na chwilę mogły zapomnieć o bagnach, na których przyszło im żyć, i poczuć się dziećmi, a nie małymi dorosłymi.

Dzieciaki bawiły się beztrósko wokół wielkiego drzewa, krzycząc radośnie, ganiając się i skacząc po co niższych gałęziach. Na skraju polanki, aby mieć na wszystko oko, kobiety zebrały się na drewnianych ławach przy jednej z chałup. Zajmowały się, bez względu na wiek, haftowaniem lub plotkowaniem, co raz to rzucając okiem na dokazujące urwisy, które doskonale radziły sobie same.

Jedna z kobiet oddaliła się jednak od reszty zgromadzenia – Verrana, niespełna czterdziestoletnia szatynka o lekko kręconych włosach, patrzyła na dzieci bawiące się na małej polance wokół dębu. Grały w bagienną grę, która polegała na rzucaniu piłką zrobioną z powiązanych luźno szmat tak, by trafić któregoś ze współzawodników, a przy tym tak wymierzyć strzał i siłę rzutu, aby szmaciana kula się nie rozpadła. Dopuszczenie do takiej katastrofy oznaczało pracowite zwijanie szmat, co dawało innym dzieciakom czas na bieganie, a jednocześnie narażało niezdarę na głupie i do kuczliwe przewwiska przez najbliższe kilka dni.

Dzieci bawiły się przy tym świetnie, śmiejąc się radośnie. Wszystkie bez wyjątku – poza jednym.

Verrana nie zwracała uwagi na zimny wiatr, który ciągnął znad bagien, szarpiąc połamami płaszcz i oblewając jej ciało chłodem. Ignorowała to tak samo jak wrzaski dzieci oraz plotkowanie za jej plecami. Jej myśli krążyły wokół Gessana – małego chłopca w podartej koszuli, który jako jedyny nie uczestniczył w zabawie. Był jej ukochanym synem i jedyną osobą, której nie odebrały jej bagna.

Mały chłopiec kuczał na uboczu polanki przy jednym z kamieni, trzymając się z dala od drzewa i blisko linii podmokłego lasu, odgrodnionego drewnianym płotem, który na szczycie miał naostrzone końce, a od strony dziczy spiętrzoną, groźną barykadę z pali i kolców dla ochrony przed dzikimi zwierzętami. Verrana była pewna, że przypatruje się jakiemuś

małemu robakowi, jak to często miał w zwyczaju. Zawsze fascynowały go tajemnice skrywane przez naturę i, jak nikt inny, umiał je w tym paskudnym miejscu dostrzegać i badać. Gdyby dorastał w wielkim mieście, które posiadało akademię, mógłby stać się wspaniałym badaczem albo odkrywcą. „Tak by zapewne było, ale nie tu”, dopowiedziała sobie w myślach.

Gdy jej mąż pewnej nocy nie wrócił z polowania, została z synkiem sama. Cały ciężar wychowania dziecka spadł na jej wątłe barki. Mogła liczyć na wsparcie i pomoc mieszkańców przy pilnowaniu chłopca, zajmowaniu się nim, ale to było za mało. Czuliła to całą sobą – tutejsi ludzie przezarci są powietrzem bagiennym. Nie dostrzegała tego wcześniej, zanim jej mąż nie zginął na bagnach, a Gessan nie zaczął zamykać się we własnym świecie i wykazywać coraz większego zainteresowania badaniem przyrody i światem książek, których nie było zbyt wiele w tej miejscowości, mieszkańcy bowiem przywykli raczej do przekazywania sobie wiedzy z ust do ust. Szybko się okazało, że z chłopca nie będzie żaden myśliwy ani rybak, ani nawet rzemieślnik, który mógłby wyplatać sieci albo robić garnki. Co najwyżej będzie się nadawał do zbierania chrustu, jak niedołężny starzec, albo do prania i gotowania, jak baba. Gessan i ona – po tym, co się stało – nie pasowali do tego miejsca. Zawsze na uboczu, sflamszeni i traktowani jak coś gorszego. Ona – samotna matka, pogrążona w wiecznej żalobie i rozpamiętywaniu straty, nie potrafiła znaleźć sobie innego mężczyzny, oraz Gessan – bezwartościowy nieudacznik. Verrana wiedziała, że Bermeld nie jest dobrym miejscem do wychowywania dziecka.

Wrogość bagniarzy i ich niechęć do Gessana objawiała się z początku niepozornie, poprzez pogardliwe spojrzenia i niewybredne komentarze o jego braku zaradności. Rówieśnicy zaczęli mu dokuczać, bijąc go i przezywając, co szybko stało się codziennością. Mieszkańcy wioski nie reagovali, tak samo jak nie reaguje się na gryzące się psy – wychodząc z założenia, że same to między sobą załatwią albo silniejszy zabije słabszego.

Jednak najgorsze zaczęło się, gdy jeden z myśliwych zobaczył jak, Gessan bawi się małą, złotą śrubką. Myśliwy szybko skojarzył, że ten przedmiot musi pochodzić ze starego, zakazanego torfowiska.

Było to miejsce, gdzie ugrzęzły ogromne metalowe istoty – golemy, które w czasie wojny przybyły do wioski razem z magami. Kiedyś siejące chaos i zniszczenie na polach bitew, teraz spoczywały pod torfem i tylko od czasu do czasu topiel wypływała na powierzchnię kawałki metalowych rąk i hełmów. Zupełnie jakby siejące zniszczenie istoty nieudolnie próbowały wydostać się z wiecznej pułapki, w którą zwabili je bagniarze.

Myśliwy, który przyłapał Gessana, nie omieszkiał przypomnieć mu tej legendy, bijąc go przy tym do krwi i opowiadając wszystkim, jak to mały Verrana zapuszcza się pod nieobecność matki tam, gdzie nikt z Bermeld nie miał odwagi chodzić, bojąc się, żeby przez niewczesną ciekawość nie obudzić mechanicznych potworów.

Verrana pamięta jak dziś zapłakaną twarz Gessana, przyprowadzonego do domu przez myśliwego, i pretensje mężczyzny o to, że przez jej syna golemy wstaną z grobu i ruszą na Bermeld, burząc je swoimi żelaznymi pięściami, zdolnymi kruszyć skały, i swoimi zielonymi promieniami miotanymi z kryształowych oczu wypalą wioskę do gołej ziemi, a ludzi do białych kości.

Od tego czasu minęły wyjątkowo długie trzy dni. Verrana bezustannie odczuwała niepokój.

Wciąż jeszcze przyglądała się bawiącym się dzieciom i swojemu synkowi, gdy usłyszała za sobą kroki. Odwróciła lekko głowę i ujrzała Elkrę. Przygarbiona staruszka dobrze się trzymała jak na swój wiek. Jej posiwiałe i przerzedzone włosy były zakryte szarą chustą, ale jej zielone oczy ostrzeżały, że umysł jej nie stracił nic ze swej przenikliwości i sprytu. Spojrzenie staruszki było świdrujące i pełne przebiegłości.

Ludzie z wioski przychodzili do niej po rady jako do jednej z najmądrzejszych osób. Była tam najstarsza, znała wszystkie tajemnice i obrzędy związane z Czterema Bóstwami. Sama uważała się za słyszącą głosy zapomnianych Bogów, często wspomagała się przy tym narkotycznymi ziołami, mimo to wielu bagniarzy z osady wierzyło jej wizjom. Elkra była nie-

formalną przywódczynią tych, którzy uznawali Rygor i kierowali się jego zasadami, co czyniło ją najważniejszą postacią w tej małej społeczności. Verrana nigdy nie darzyła jej zaufaniem.

Pokryte zmarszczkami usta staruszki wygięły się, upodobniając ją na chwilę do bezzębnej pijawki.

– Chodź do nas, Verrana. Pozwól, aby ogień ogrzał twoje przemarznięte ciało – wysapała staruszka.

– Wiesz dobrze, że nie mogę tego zrobić. – Odwróciła się od niej. – Muszę mieć dziecko na oku.

– Twoje dziecko jest przecież wśród swoich – odparła starowinka, wyraźnie akcentując ostatnie słowo.

– I właśnie dlatego muszę je pilnować.

Przez chwilę zapadła między nimi cisza, którą w końcu Verrana sama zdecydowała się przerwać.

– Oni go nie akceptują. – Wiedziała, że to może nie być dobry krok, ale postanowiła powiedzieć, co jej leży na sercu. – Od czasu, gdy odszedł Thern, Gessan stał się inny. Czuje, że tu nie pasujemy.

– Samaś sobie winna – odburknęła Elkra. – Sporo czasu już minęło, od kiedy twój mąż odszedł. Mogłaś ponownie stanąć na ślubnym kobiercu. Bogowie by ci pobłogosławili. A mały miałby wtedy nowego ojca, który szybko by go ułożył. Wiem, że Ronid chciał się z tobą żenić, czemuś go odrzuciła, co?

– To pijak, moczymorda i awanturnik. – Na samo wspomnienie o tym odpychającym człowieku przeszły ją dreszcze. – Nie wiem, czy znajdę tu kogoś, kto zastąpi mi Therna.

Staruszka przez chwilę wydawała się ważyć słowa, które miała wypowiedzieć.

– Jeśli nic nie zrobisz z tym maluchem, to wyrośnie z niego taki sam marzyciel i nieudacznik jak Thern. – Wypluła te słowa wyjątkowo gładko, bez zająknięcia szkalując imię zmarłego ukochanego Verrany. – Również nie wróci z bagien z własnej winy i z powodu braku umiejętności, by tam

przeżyć. Mokradła to nie polanka pełna kwiatów. Znasz drugie prawo Rygoru – każdy mężczyzna z wioski musi się udać na bagna, pokazać, ile jest wart dla Bermeld, albo zdechnąć w szlamie mokradeł lub paszczy bestii! Tego właśnie chcesz dla swojego dziecka? – dodała na koniec.

Verrana przez moment milczała, spoglądając na Gessana, który cały czas oglądał coś na łące. Po chwili spojrzała starsuszcze prosto w oczy.

– Wiesz, czemu o tym wszystkim ci mówię? – powiedziała to lekko drżącym głosem. – Ponieważ podjęłam już decyzję. Odchodzę.

Elkra zrobiła dwa kroki w tył, jakby odepchnięta jej słowami. Verrana kontynuowała:

– ...nie lubię obecnego wójta. Okupuje tę osadę, sprowadza najemników w tych krwawych pancerzach i zmusza ludzi do niewolniczej pracy, aby samemu wypchać sobie kabzę złotem. Tak uważam, chociaż ty będziesz zaprzeczać i mówić co innego. Zawsze mówisz to, co ludzie chcą usłyszeć, by ich zwieść, mamroczesz coś w narkotycznym widzie o Czterech Bogach i Uśpionym Smoku, a nie prawdę, którą ludzie powinni usłyszeć! – Pokazała palcem pobliskie chałupy.

Nieopodal, na ścieżce między budynkami, w pobliżu wbitej w ziemię dużej, rozpalonej pochodni, stali trzej zbrojni mężczyźni. Wszyscy mieli rdzawoczerwone, jakby schlapane krwią pancerze, gdzieniegdzie przyozdobione kolcami albo czarnymi malowidłami. Ani ich zbroje, ani broń nie stanowiły jednolitego rynsztunku. Jeden z nich miał na plecach głewię o długim drzewcu i charakterystycznym zakrzywionym ostrzu, połyskującym nad jego głową jak prywatny półksiężyc; uzbrojenie pozostałych dwóch stanowiły mniej egzotyczne miecze i kusze, jednak i te w wprawnych rękach mogły być równie zabójcze. Nie zareagowali na wskazanie ich palcem, nie ruszyli się, a pod ich hełmami nic nie było widać. Z tej odległości sprawiali wrażenie olbrzymich ciem skupionych wokół światła i ciepła.

Przybyli tu na zaproszenie wójta Derotha, oficjalnie sprawując funkcję wartowników pilnujących pochodni i dbających o to, by któraś nie zgasła. Mieszkańcy mawiali, że lepsza taka ochrona niż żadna, gdyż bagniska za-

mieszkiwały przeróżne stworzenia. Wszyscy wiedzieli, że to pozory, czuli się przy tych strażnikach jak owce w towarzystwie nie do końca oswojonych wilków. Dziś było ich tylko trzech i w samej osadzie zapewne niewielu więcej, bo większość z nich właśnie o tej porze, podobnie jak znaczna część sprawnych i silnych bagniarzy, była na mokradłach, nadzorując budowę szlaków handlowych, które powstawały na rozkaz zarządcy miejskiego.

Mieszkańcy udawali, jak mogli, że nie są zakładnikami we własnej wiosce. Miejscowi plotkarze mówili po cichu o ludziach, którzy zginęli na bagnach podczas karkołomnej budowy szlaków. Szeptali też o Derocie i ewentualnych planach wygnania go z osady. A sami najemnicy w krwawych pancerzach – nazywani przez tutejszych okupantami i ogarami – udawali, że ochraniają bagniarzy podczas ich pracy, w istocie ich nadzorując. A i teraz udawali w wiosce, że są tu przez przypadek, jednocześnie próbując wychwycić, o czym zebrani mogą rozmawiać.

– Nie mówimy o tym, bo w żaden sposób nie łamię to durnych zasad Rygoru – kontynuowała Verrana – a poza tym wstyd się przyznać, że takiego człowieka jak Derot mianowaliśmy wójtem, dając się zwieść jego pustym obietnicom o bogactwach, które spłyną na wioskę, gdy wybuduje się te przekłete szlaki. – Verrana była z siebie dumna, że dała radę to powiedzieć i złamać tabu. Kolejne słowa same ułożyły się w jej głowie i wyleciały przez usta. – Jedyne, co jest prawdziwe w tych oparach bagiennego powietrza, absurdu i kłamstwa, to szlaki. Budowa, do której ludzie są zmuszani. Dlatego udam się na jeden z nich i razem z Gessanem opuścimy Upadłe Mokradła.

Chociaż przerażała ją myśl o przedzieraniu się przez bagna razem z dzieckiem oraz samotna wędrówka po szlakach handlowych w poszukiwaniu miasta, do którego ich wpuszczą i w którym im się poszczęści, to nie zamierzała się z tego wycofać.

Elkra patrzyła na nią przez chwilę, jakby zrobiła coś bardzo złego. Pokręciła głową, a jej twarz nie wyrażała przy tym żadnego gniewu, żalu ani rozczarowania, czym kompletnie zaskoczyła Verraną.

– Od chwili twojego ślubu z Thernem wiedziałam, że będą z wami same kłopoty – odparła chłodno. – Szkoda, że nie podeszłaś do ogniska, tak jak ci to sugerowałam.

Verrana patrzyła na nią przez chwilę z niedowierzaniem, niepewna tego, co zaraz się stanie. Dopiero teraz zaczęła żałować słów, które wypowiedziała.

– Twój syn opuści osadę, to prawda, ale ty tu zostaniesz! – Elkra powiedziała to głosem sędziego, niekryjącego swojej antypatii do skazanego. – Wiesz dobrze, jak Rygor reguluje takie przypadki jak ten, a dziwactwa twojego syna już zbyt długo były tolerowane. Swoim zachowaniem i lekkomyślnością sprowadzi na nas któregoś dnia wielkie zło z bagien. Rygor nakazuje pozbyć się takich od razu.

Verrana przez parę chwil stała osłupiała, nie mogąc uwierzyć w te słowa. Znała prawa Rygoru i kilka razy słyszała o przypadkach, gdy dziecko zostało zmuszone do opuszczenia Bermeld i udania się w samotną wędrówkę przez mokradła albo zabrane przez ludzi w białych płaszczach, przybywających na szklanych łodziach, których szlam zdawał się nawet nie dotykać. Sama nigdy nie uczestniczyła w takich zebraniach, ale podobno w nocy niektórzy mieszkańcy zakładali skórzane maski i zbierali się, by wydawać wyroki.

Dopiero po latach, gdy sama została matką, dotarło do niej, na jak straszny los skazywane były te dzieci. A teraz ten los mógł spotkać jej dziecko. Wszystko w imię Rygoru.

W tej chwili zrozumiała, że została sama, ani wójt, ani jego gwardia przyboczna z Czerwonej Stali nie zrobią nic, aby jej pomóc, a sami mieszkańcy Bermeld, wypowiadający się ustami staruchy Elkry, będą przeciwko niej.



Gessan nie wiedział, co robi jego matka, ani też nie zwracał uwagi na bawiące się niedaleko dzieciaki. Był bardzo skoncentrowany na swo-

im najnowszym znalezisku – żuczek o złoto-czerwonym pancerzu dzielnie maszerował po kamieniu, a czarne różki chwiała się przy tym lekko na boki. Przypominał jesienny liść, tańczący pod wpływem delikatnych podmuchów wiatru. Gdy Gessan zrozumiał naturę swojego skojarzenia, pojął też, czemu ten widok wywołał w nim dziwne uczucie chłodu. Ów cudaczny robaczek o żółtawym odcieniu przypominał mu jego cudowną, złotą śrubkę. Jedno z jego cenniejszych znalezisk, które zdobył w niecodzienny sposób podczas samotnej eksploracji bagien.

To był głupi pomysł – samotna wyprawa na bagna pod nieobecność matki zakończyła się tym, że młody odkrywca szybko zablądził w głuszy. Długo nie mógł znaleźć właściwej drogi ani zorientować się, gdzie jest. Właśnie wtedy, po wielogodzinnej tułaczce, trafił do miejsca z opowieści. Tam, gdzie pod ziemią spały golemy. Ich metalowe, ogromne członki wyrastały z bagiennych dołów. Chociaż wiedział, że nie powinien tam być, to jednak widok ten go fascynował i pobudzał jego wyobraźnię. Domyślał się, jak takie monstra musiały powstawać, odlewane z ogromnych kotłów, rzeźbione, napelniane magią i przedziwnymi mechanizmami. Rozumiał, jak wielki strach musiał ogarnąć mieszkańców Bermeld, gdy zastępy tych kolosów przybyły do ich osady. Zaczął jednak wędrować między ogromnymi hełmami i rękami wykonanymi z metalu.

Gdy rachując metalowe, wielkie jak kolumny ręce i równie wielkie hełmy, naliczył jedenaście sztuk uśpionych gigantów, pojawił się On – mężczyzna o ostrych rysach twarzy, nieprzyjaznym uśmiechu i lekkim zaróżwieciu, który nie skrywał blizny na jego brodzie. Sam siebie nazywał łowcą i władcą tej części bagniska. Wyłonił się nagle przed Gessanem, bezszelstnie i szybko, zupełnie jak ogromna puma, która podążała w ślad za nim. Chłopiec był przerażony tajemniczym, noszącym się na czarno przybyszem i jego zwierzęcym towarzyszem. Szybko powiedział mu, kim jest i jak znalazł się w tym miejscu – bardzo denerwując się podczas tej rozmowy, zaś łowca wpatrywał się w niego nieprzyjaźnie, cały czas trzymając dłoń na rękojeści jednego ze swoich ostrzy. Wielki kocur patrzył na chło-

paka jak na potencjalny posilek. To, co stało się potem, zaskoczyło chłopca jeszcze bardziej, bo, mimo swej groźnej aparycji i szorstkiego tonu, mężczyzna nie rzucił go na pożarcie pumie. Zamiast tego przestrzegł Gessana przed zapuszczaniem się w to miejsce i odprowadził go na skraj wioski, wcześniej obwiązując mu oczy, by chłopiec nie zapamiętał drogi powrotnej na cmentarzysko golemów. Na pożegnanie mężczyzna wręczył mu złotą śrubkę. Jak sam powiedział, była to jedyna ładna i cenna rzecz, jaką udało mu się znaleźć na cmentarzysku. Dając mu ją, przestrzegł Gessana, aby ten zapomniał o tym, co stało się tamtego dnia, i nigdy więcej nie wracał w tamto miejsce, bo za drugim razem tajemniczy człowiek z bagien nie okaże tyle uprzejmości.

Gessan zamierzał zastosować się do tej rady.

Tajemnicza złota śrubka przez długi czas była jego małym skarbem i najcenniejszą zabawką, jedną z niewielu, jakie posiadał. Stracił ją trzy dni temu, przez własną nieuwagę, gdy spostrzegł go pijany brodac. Mimo że wspomnienie przedmiotu cały czas budziło w nim poczucie straty, to pamiętał, jakie problemy miała przez to jego matka. Nie wspominając o sińcach, których jego ciało jeszcze nie zaleczyło, a które chował pod lnianą koszulą.

Popatrzył na matkę. Widział, jak rozmawia ze starą Elkrą, a nawet on, choć był tylko dzieckiem, kojarzył tę osobę. Wiedział też, że wiele osób w osadzie traktuje ją jak wyrocznie, posiadaczkę jakiejś tajemnej wiedzy. Ludzie z wioski często chodzili do niej po porady i uważali ją za mądrą kobietę. Mama, nawet przed odejściem taty, rzadko udawała się do niej z pytaniami.

Nie podobała mu się mina starszej pani, tak samo jak mina jego matki, ale mimo to wiedział, że nie powinien wtrącać się w rozmowy dorosłych. Nie tylko dlatego, że to nieładnie, ale głównie przez wzgląd na mamę, której nie chciał sprawiać więcej kłopotów.

Zamierzał ponownie skupić się na żuczku, ale fascynującego owada już nigdzie nie było. Zniknął gdzieś pomiędzy kamieniami. Chłopczyk

wyprostował się i spojrzął w stronę majestatycznego, wiecznie czerwonego dębu. Popatrzył na bawiące się tam dzieci, biegające w kółko, krzyczące i przerzucające się piłką ze szmatek. Nie był taki jak one, wiedział o tym od bardzo dawna. Praktycznie w chwili, gdy jego zmarły ojciec pokazał mu swój klaser z owadami i zasuszonymi roślinami, zrozumiał, że mokradła nie są niebezpieczną krainą, z którą zawsze trzeba walczyć i jej nie-nawidzić, bo jeśli spojrzano się na nie z odpowiedniej perspektywy, jeśli wiedziało się, gdzie czego szukać i pod jaki kamień zajrzeć – stawały się istnym skarbcom Matki Natury.

Brakowało mu taty. On wiedziałby, co robić, i mama byłaby szczęśliwsza.

Czasami czuł się straszliwie samotny.

Gdy wiatr wiejący od strony mokradeł stał mu lśniąca łzę z policzka, coś przykuło jego uwagę. Na tle pola, usianego gdzieniegdzie czerwonymi kwiatami i omszałymi kamieniami, zobaczył tańczącą nieporadnie na wietrze żółtą plamkę – jego żuczek się znalazł. Ujrzał, jak przysiada na jednym z kamieni nieopodal obronnego płotu.

Niewiele myśląc, zadowolony, że znów będzie mógł zaspokoić głód odkrywcy i badacza przyrody, pomaszerował pewnym krokiem w tamtą stronę.

Nie miał pojęcia, że z gęstwiny coś bardzo uważnie śledzi każdy jego krok.



– Nie możecie tego zrobić – powiedziała z rozpaczą w głosie Verrana. Jednak Elkra pozostawała niewzruszona, nie skrywała się jednak za maską zubożenia. Swoją miną i spojrzeniem demonstrowała perwersyjne zadowolenie, jakie sprawiało jej ukaranie krnąbrnej kobiety.

Przez chwilę zaległa między nimi cisza.

– Przykro mi dziecko, ale to już postanowione – odparła, patrząc jej w oczy.

Verrana dopadła ją jednym susem i chwyciła za poły jej szaty. Stare, schorwane ciało nie było w stanie stawiać żadnego oporu. Pewnym ruchem przyciągnęła Elkrę do siebie. Miała jej twarz tak blisko swojej, że mogła dokładnie przyjrzeć się każdej bruzdzie i zmarszczce.

Verrana przez zaciśnięte zęby wyszczała słowa wymieszane ze śliną, tak że krople spadły na ubranie staruszki:

– Jeśli naprawdę myślisz, że pozwolę wam pozbyć się mojego syna jak worka odpadków, to się grubo mylisz, wiedźmo. Prędszej sama zatargam cię na bajora albo wrzucę w ruchome piaski.

Pod tą maską ze zniszczonej przez czas skóry i zmarszczek nie dostrzegła jednak ani odrobiny strachu czy spolegliwości. Ostre słowa i brutalne szarpanie nie zrobiły wrażenia na starej kobiecie.

– Obawiam się, że to będzie wyglądać nieco inaczej. – Elkra uśmiechnęła się szyderczo, pokazując przy tym swoje liczne ubytki w uzębieniu i poczerniałe dziąsła. Z tym uśmiechem i ze swoimi zielonymi oczami wyglądała niczym ogromna, upiorna lalka z koszmarnego snu.

Verrana wciąż jeszcze trzymała ją w uścisku, gdy usłyszała za sobą męski, gruby głos. Doskonale jej znany.

– Puść w tej chwili wieszczkę! – Ton był niemal rozkazujący. – Nie wiesz, że do starszych trzeba z szacunkiem?

Gdy odwróciła się powoli, przeszło ją przerażenie. To był Ronid, mężczyzna o nieprzyjemnej twarzy, krzywym nosie i kwadratowej szczęce. Jej niedoszły zalotnik, którym tak bardzo gardziła. Nie tylko ze względu na jego brzydotę, ale również fakt, że jeszcze nie zdążyła dobrze oswoić się z myślą o śmierci męża, a on już nie krył się co do swoich zamiarów względem niej.

Stał tam jak zawsze w swoje szarej, znoszonej koszuli i nie był sam. Za nim znajdowała się cała gromada miejscowych. Mężczyźni w różnym wieku, którzy dziś nie pracowali przy karczowaniu lasów i układaniu dróg. Kobiety, które jeszcze parę chwil temu szyły i plotkowały, oraz kilkoro staruszków, którym większa grupa ludzi wlała nieco animuszu w stare kości.

Byli tu wszyscy ci, którzy do tej pory ogrzewali się przy ognisku. Twarze, które Verrana знаła na co dzień z Bermeld. Wszyscy oni obrzucali ją spojrzaniem, jakie rodzic serwuje dziecku, nakrywszy je na złym uczynku.

Verrana odruchowo rozluźniła palce, puszczając Elkrę z uścisku, chociaż dobrze wiedziała, że to nie o szarpanie starego babska tutaj chodziło.



Gessan przykucnął przy małym stosiku z kamieni, gdzie – był tego pewien – znajdował się obserwowany przez niego żuczek. Uparcie i powoli odrzucał kamienie swoimi małymi dłońmi, najpierw ostrożnie wsuwając palce w wolną szczelinę, by móc je powoli zdjąć, nie wywołując przy tym zapadnięcia się kamiennego stosiku. Nie chciał zniszczyć swojego upragnionego okazu. Chciał jeszcze chociaż raz popatrzeć na to małe, cudowne stworzonko. To, jak sprytnie zostało skonstruowane przez naturę. Jak przebiera swoimi małymi nóżkami niczym precyzyjny mechanizm.

Na początku udało mu się znaleźć pod kamieniami jedynie kilka stonóg, karaluchów i sporo ślimaków bez muszli, ale w końcu, po odrzuceniu kolejnego kamienia, spomiędzy szczeliny wysunął się powoli złoty owad. Gessan był zachwycony tym widokiem i uradowany, że jego trud nie był daremny. Pochylił się nisko, aby popatrzeć dokładnie na tę grację, majestat i tajemnicę zamkniętą w ciele tego małego stworzonka.

Znów mógł oddać się swojemu ulubionemu zajęciu, bacznej i fascynującej obserwacji przyrody. Złoty robaczek skutecznie odwrócił jego uwagę od trosk. Dzięki małemu owadowi na parę chwil zapomniał o wszystkich złych myślach, które od czasu feralnej wyprawy na torfowiska kotłowały się w jego głowie.

Patrzył, jak owad, stając na kamieniu, rozchyła swoje pancerne pokrywy skrzydeł, spod których wyłoniły się przezroczyste, błoniaste skrzydła.

Gessan doskonale wiedział, co to znaczy. Długo już badał przyrodę na mokradłach i potrafił odczytać pewne ruchy owadów, które, choć były dla niego niczym małe samonakręcające się, wykonane z pietyzmem me-

chanizmy, to mimo wszystko były prymitywne i przewidywalne, a i ten maluch, mimo całej swej cudowności, nie był wyjątkiem. Mały chrząszcz, który wykonał dla niego przedstawienie na kamiennym scenie, machając radośnie czułkami i przebierając czarnymi odnóżami, zbierał się powoli do opuszczenia jej. Chłopiec zawsze w takiej chwili odczuwał pokusę, aby złapać stworzenie i zanieść je do domu, a tam zamknąć w słoiku. Ale powstrzymywał się przed tym. Pamiętał cały czas o naukach ojca, który do znudzenia powtarzał mu, że takie żyjątka są piękne tylko na wolności.

Chłopiec z zapartym tchem i podwiniętymi nogami patrzył, jak przezroczyście skrzydełka żuka zaczynają poruszać się w górę i w dół coraz szybciej, podczas gdy głowa owada kiwała się z lekka na boki, jakby rozglądał się, czy może bezpiecznie wzbić się w powietrze.

Jednak Gessanowi nie było dane stać się świadkiem tego majestatycznego widowiska, jakim miało być odfrunięcie błyszczącego owada. Upragniona przez niego chwila nie nastąpiła.

W następnym momencie owad przestał istnieć. Stopa, odziana w brązowy skórzany but, opadła na kamień dokładnie w miejscu, gdzie znajdował się owad.

Gessan podniósł głowę i zobaczył tego, który brutalnie zakończył żywot złotego żuczka. Nie był zdziwiony, że osobą tą okazał się Harsz, miejscowy hultaj i rozrabiaka, najbardziej krnąbrne dziecko w wiosce. Jego prześladowca i gnębiel, który lubował się w dokuczaniu słabszym. Piegowata, puciołowata buzia Harsza wykrzywiła się w uśmiechu, co w połączeniu z jego kręconymi, rudymi jak marchew włosami upodobniło go do cyrkowego siłacza.

Jego nieodłączny towarzysz, Fell, o czarnych zaniedbanych włosach i wiecznie rozbieganych oczkach, stał za nim niczym giermek u boku ryceza, podobnie jak Harsz odziany w prostą, lnianą koszulę z trokami przeplatanymi na torsie.

Harsz tymczasem pokazywał swoim uśmiechem, jak wielką przyjemność sprawiło mu zabicie chrząszcza.

– O, zabaweczka się spsuła gamoniowi? – powiedział dumnie, sepleniąc i pokazując dwa ubytki w uzębieniu, jeden obok drugiego. Brak zębów był świadectwem licznych bijatyk.

Patrzył z góry na kucającego chłopca, pewien tego, że lada chwila, jak zwykle, rozplacze się, polecą na skargę do matki albo zaszyje się za jakimś drzewem. Tym większe zdziwienie go ogarnęło, gdy Gessan nie poddał się rozpacz, tylko prędko zrywając się na równe nogi, uderzył w jego pulchne ciało.

Harsz, nie spodziewając się ataku, zachwiał się i runął na ziemię niczym ścięte drzewo. Gessan szybko usiadł na nim i swoimi chudymi rękami zaczął okładać chłopca, który tak brutalnie i bezmyślnie zabił złotego żuczka.

Przez ten cały czas myślał o swojej złotej śrubce zabranej przez śmierdzącego myśliwego, poczucie straty znów powróciło, jeszcze silniejsze niż wcześniej. Niezdarnie okładał rudego grubasa zaciśniętymi pięściami. Miał łzy w oczach. Nie miał pojęcia, ile razy zdążył uderzyć Harsza i w co go trafił, nim Fell złapał go za ręce i wykręcając je, ściągnął go z chłopaka. Ten powoli wstał, otrzepując się. Śmiał się i Gessan już wiedział, że jego pełne gniewu ciosy okazały się nieporadne i jedynie rozjuszyły łobuza, który teraz zamierzał wszystkie te razy oddać mu ze sporą nawiązką.

– Dlaczego? – spytał drżącym głosem. – Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego?!

Harsz podszedł bliżej. Miał lekko różową twarz, kilka uderzeń musiało go jednak dosięgnąć.

– Co za głupie pytanie – powiedział i jego zaciśnięta ręka, twarda niczym kamień, uderzyła Gessana w brzuch. – Bo jesteś oferumą. A tacy zasługują na wszystko, co najgorsze.

Zaciśnięta pięść dwukrotnie ugodziła go w zębra.

Gessan był lekko zamroczony po tych ciosach. Jego głowa opadła bezwładnie, ale słyszał dokładnie każde słowo.

– ...każdy w tej wiosce będzie miał cię za frajera, cholerny miłośniku ro-
bactwa. Łazis tam, gdzie nie wolno chodzić, i narazas nas wszystkich. Rodzice
mówili, że z dziwaka stałeś się prawdziwym utrapieniem dla wioski.

Nie patrzył na niego, ale analizował każde z usłyszanych słów. Cały
czas miał przez oczami, pomimo lekkiego zamroczenia, uśmiechniętą
twarz swojego prześladowcy, a był to uśmiech dziecka, które bez powodu
znęca się nad mrówką, wyrywając jej kończyny. Wszystkie te przykre rze-
czy, okrutne słowa, zniewagi i fizyczny ból scalały się w jego głowie niczym
fale sztormu, które go zalewały. Nagle to wszystko uspokoiło się, gdy coś
sobie uświadomił.

Szmery. Głośne, wyraźne szmery ocierających się o siebie liści i gałęzi.

Słyszał wyraźny szelest listowia. Nie było wiatru, co zauważył już
podczas obserwacji zuczka, a mimo to słyszał wyraźnie, jak coś poruszy-
ło gałęziami i liśćmi za ogrodzeniem. Dwóch łobuziaków, zaaferowanych
znęcaniem się nad Gessanem, wydawało się być kompletnie głuchymi na
ten dziwny dźwięk. Do momentu, gdy z gęstwiny za ogrodzeniem dobył
się upiorny długi pomruk, który wydawał się przenikać człowieka głęboko
aż do kości, wzbudzając najbardziej pierwotne lęki.

Po chwili ogromny czarny cień przesunął się nad całą trójką niczym
wielka gradowa chmura. Słysać było donośne dudnienie, jakby coś bardzo
ciężkiego spadło na ziemię. Dwaj chłopcy cały czas trzymali Gessana, pod-
czas gdy ich ciała zeszytywniały ze strachu. Jeden z nich wydał z siebie oso-
bliwy jęk, jakby dźwięk zepsutego instrumentu, ponieważ ze sztywnego z
przerażenia gardła nie mógł się wydobyć krzyk. Gessan uniósł lekko głowę
i zobaczył rudego, pulchnego chłopca powoli odwracającego się w stronę
ogromnej czarnej sylwetki, która wyrosła za jego plecami niczym ponu-
ra góra. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Harsz spogląda w górę na giganta,
prosto w lśniące ślepia, jarzące się w głębi jego potwornej, zniekształconej
czaszki.

Harsz nie zdążył wydać z siebie żadnego dźwięku. Potwór wy-
konał błyskawiczny ruch łapą uzbrojoną w długie, hakowate szpony.

Chłopiec eksplodował niczym wielki balon wypełniony krwią i wnętrznościami.

Gessan dojrzał przez ułamek sekundy zaskoczenie na twarzy Harsza, a także wielką czerwoną chmurę, która rozlała wokół niego niczym farba wylana nieopatrznie na obraz. Nawet ta czerwień nie była w stanie zakryć ogromnego czarnego kształtu, który wyrósł tuż za nim.



Verrana upadła w błoto, gdy powalił ją cios Ronida. Mężczyzna nie żałował sił na uderzenie. Tłum mieszkańców cały czas stał za nim, a ich miny wyrażały jedynie pogardę oraz zobojętnienie.

Verrana podniosła się z błota, cała nim pokryta. Spojrzała na Elkrę, oddalającą się z miejsca, które powoli zmieniał się w miejsce linczu. Nie patrzyła w jej stronę. Stara kobieta pozwalała, by brudną robotę wykonali inni, podczas gdy ona – patrząc w pochmurne niebo – mamrotała pod nosem jakieś modlitwy.

– Nie zgodzę się na to... – powiedziała sama do siebie, a w jej dłoni pojawił się mały nóż, którego używała do ścinania ziół i patroszenia ryb.

Z tłumu dobiegały głosy oburzenia i gniewne pomruki. Pośród nich słychać było ciągle powtarzające się zdania:

Rygor tego wymaga...

Rygor to wszystko, co mamy...

Rygor pozwoli nam przetrwać...

Rygor... Rygor... Rygor...!!

– Chrzanić Rygor i Czterech Bogów – powiedziała wściekle Verrana, podnosząc się z błota i mocno ściskając ostrze. – Został mi tylko Gessan. Nie zabierzecie mi go. Nie bez mojej zgody!

Widząc ostrze w jej dłoni, tłumek przestał się zbliżać. Ronid pozostał jednak tam, gdzie stał.

– Nie bądź głupia, kobieto – mruknął Ronid, cały czas zerkając na nóż w jej rękę. – Nie umiałaś wychować syna, czas ponieść konsekwencje.

Znasz zasady. Nie może tu pozostać, będzie ciężarem. Albo zdechnie na bagnach w paszczy smoka, albo znajdą go Wstęgi i zabrają do Zakonu. Ty nie musisz przez to cierpieć. Łono długo jeszcze będziesz miała wilgotne, możesz jeszcze mieć dużo bardziej udanych dzieci. W odpowiedzi Verrana rzuciła mu spojrzenie wilczycy gotowej stanąć do morderczej walki w obronie swoich młodych.

Ronid zrobił krok do przodu, unosząc lekko ręce w pojednawczym geście. Ona czuła jednak, że to miało tylko zmylić jej czujność. Chrapliwy śpiew Elkry, zawołanie o Czterech Bogach z bagien, rozbrzmiewał coraz głośniejsze nad zebranymi.

– Pozwólcie nam odejść – wyszeptwała matka, gdy ludzie zaczęli podchodzić coraz bliżej. Jej oczy zaszklily się, gdy uświadomiła sobie, że nie obroni dziecka.

Nagle wszystko się zatrzymało. Nieudolny śpiew Elkry ustał, a ona sama wskazała palcem na polankę. Wszyscy ludzie stanęli jak wryci, gdy od strony majestatycznego dębu rozległy się krzyki przerażonych dzieci.

– Bestia! Bestia w wiosce! Łapcie dzieciaki i chowajcie się, ludzie!



Dzieciaki bawiące się przy świętym drzewie zerwały się do panicznego biegu niczym stado baranów spłoszone przez wilka. Wrzeszczały, krzyczały, tratowały się, uciekając w kierunku drewnianych chałup.

Dorośli, zupełnie ignorując Verranę, rzucili się w kierunku nadbiegającego stadka, chcąc jak najszybciej złapać swoje pociechy i wyciągnąć je z tego zamętu.

Verrana, cały czas lekko oszołomiona nagłym obrotem sytuacji, patrzyła na polankę. Próbowwała w tym nadbiegającym tłumie, pośród wszechobecnego chaosu, ujrzeć blond włosy Gessana. Jej wzrok skoncentrował się na włochatym olbrzymie, który wyrastał za morzem dzieci niczym podnoszący się z dna oceanu pradawny tytan.

Zobaczyła monstrum z legend, które opowiadano sobie przy ognisku. Potwora z lasu wypędzonego pewnej nocy z wioski przez moc jesiennego drzewa zesłanego przez Bogów. Potwór po latach powrócił. Samą swoją plugawą obecnością naigrawał się z wierzeń bagniarzy, wyglądem i posturą budząc w nich stare lęki. Teraz stał nieopodal prowizorycznego płotu.

Wielka kreatura, o długim, szarym futrze, gęsto porastającym jej cielsko, i małpich, umięśnionych ramionach. Okropny pysk, przypominający groteskowe połączenie głowy nietoperza ze szczęką wilka, był wypełniony tak dużą ilością kłów, że gęba stwora wyglądała, jakby wyginała się w demonicznym uśmiechu.

Verrana biegła przez tłum dzieci i rodziców, wypatrując swojego synka. Nie spuszczać oczu z bestii, była świadkiem makabrycznego zdarzenia. Kudłata bestia trzymała za nogę szamoczącego się chłopca o czarnych włosach. Przez chwilę wydawało się, że potwór pożre nieszczęsne dziecko, rozkoszując się uprzednio zapachem jego strachu, ale nagle cisnął nim w stronę ogrodzenia. Dziecko nabiło się na szpikulce, którymi zwieńczony był płot. Zastygło w bezruchu niczym owad nabity na szpilkę, a wylewający się z niego szkarłat obficie znaczył ogrodzenie.

Verrana stanęła jak wryta. Nie musiała już przeczesać tłumy ani nawoływać synka. Gdy potwór uniósł drugą dłoń, widać było, że trzyma w niej pochwyconego blondwłosego chłopca.

Gessan był uwięziony w ogromnych paluchach potwora, z krwią na buzi i koszuli wyglądał na ciężko rannego. Jednak wciąż szamotał się, choć uderzenia jego rączek były coraz słabsze.

Verrana, widząc aż nazbyt dokładnie, jak przed chwilą potwór potraktował innego chłopca, ścisnęła mocniej swój nóż i była już gotowa popędzić w tamtą stronę, by stanąć do rozpaczliwej walki z kreaturą, gdy nagle czyjeś dłonie mocno zacisnęły się na jej ramieniu.

Obejrzała się i zobaczyła Ronida. Mężczyznę, który jeszcze parę chwil temu ją uderzył.

– Nie bądź głupia. Zginiesz tam, durna babo. – Jego dłonie zacisnęły się mocniej.

Verrana zaczęła się wściekle szarpać, ale silne ramiona Ronida utrzymały ją w pewnym chwycie. Spojrzała w kierunku stwora, który trzymał jej dziecko. Na chwilę uspokoiła się, gdy Ronid wskazał jej trzech zbrojnych, kierujących się w stronę potwora. Najemnicy z Czerwonej Stali, którzy do tej pory byli tylko biernymi obserwatorami, w końcu postanowili zrobić to, do czego wójt ich wynajął. Ruszyli do walki.

Verrana zobaczyła, jak trzech uzbrojeni mężczyźni podążyli z impetem w stronę bestii. Obserwowała w napięciu, jak dwaj mężczyźni wyciągnęli broń, a trzeci zbliżał się, celując do potwora z ciężkiej kuszy. Ten z giewią ujął ją oburącz, drugi zrównał się z nim, przygotowując miecz, ostatni z nich, ruszając za nimi, napinał kuszę. Widać było, że był to ćwiczony przez nich manewr, każdy znał swe miejsce i rolę. Ale to, jak jeden z nich nerwowo trzymał miecz, a drugi pośpiesznie ładował kuszę, nie trafiając bełtem w łożysko, zdradzało, że ten rodzaj walki ich przerastał.

– Ci idioci mogą zranić Gessana! – Verrana zaczęła się szarpać, ale Ronid nie pozwolił jej się oswobodzić.

– Oni działają tam więcej niż ty! – wrzasnął na nią.

Bełt pomknął z kuszy w stronę potwora i wbił się w grube ramię. Żółtymi oczami bestia zerknęła na wystający pocisk, który z pewnością przebilby solidną zbroję na wylot, lecz w muskularnym cielsku ledwo się zagłębił. W miejscu przebicia skóry zaczęła płynąć gęsta, fioletowa posoka. Potwór nawet nie wyciągnął bełtu. Jedyne spojrzał na strzelca ślepiami pełnymi nienawiści.

Ręce wojownika drżały, gdy pośpiesznie ładował na powrót kuszę.

Potwór rozwarł szeroko swoją paszczę i wydał z siebie dziki, pierwotny ryk, jakby wszystkie maszkarony zamieszkujące puszcę wrzasnęły jednocześnie w jednym potwornym chórze. Verrana na parę chwil przestała się szarpać, oszołomiona. Zupełnie tak, jakby demoniczny ryk obudził w niej jakiś zwierzęcy lęk. Gdy przerażający dźwięk rozniósł się echem po wiosce, bestia ponownie zwarła szczęki w przerażającym uśmiechu.

Potwór nachylił się, a jego gęste włosy na grzbiecie i ramionach w jednej chwili stwardniały i nastroszyły się we wszystkie strony. Wyglądało to

tak, jakby cielsko stwora pokryło się czarnymi kolcami, nadając mu jeszcze bardziej niehumanoidalny wygląd. Z drgającej kępy kolców wystrzeliły czarne smugi, które pomknęły nad głowami nadbiegających wojowników, by z błyskawiczną szybkością sięgnąć nieszczęsnego kusznika. Niczym oszczepy przebiły na wylot broję wojownika, jeszcze przed chwilą strzelającego do kreatury. Pierwszy czarny oszczep przebił jego hełm na wylot, dwa pozostałe wystawały z korpusu nieszczęśnika, który upadł za ziemię, obficie brocząc krwią.

Verrana coraz mocniej się szarpała, widząc, jak łatwo monstrum pozabawiło życia jednego z najemników, i niechybnie uczyni to z kolejnym, gdyż ostrze drugiego z najemników pękło właśnie, rozbite na kawałki w konfrontacji z wielkimi szponami bestii.

Ronid nie zamierzał odpuszczać. Ścisnął mocniej jej rękę i zapierając się nogami, zaczął ją odciągać, byle dalej od tego miejsca. Mieszkańcy wioski stali w bezpiecznej odległości, z widłami, kosami i inną prowizoryczną bronią, lub przez szpary w oknach patrzyli na rozgrywający się dramat – zmagania wojowników w czerwonych pancierzach z potworem z legend i samotnianę myśliwego z wdową. Nikt z nich, w obawie o własną skórę, nie ruszył, aby pomóc najemnikom. Wszak wciąż byli intruzami, chociaż ginęli w obronie Bermeld. Los kobiety i jej dziecka też był im obojętny.

– Nie bądź głupia – wysyczał Ronid.

Kobieta z gracją obróciła się wzdłuż jego dłoni i przywarła całą sobą do jego ciała. Zrobiła to nagle, szybko, kompletnie zaskakując myśliwego. Z bliska mężczyzna czuł na swojej ogorzalej twarzy jej niespokojny, przyspieszony oddech. W tej samej chwili poczuł także liżący go po skórze chłód stali. Nóż Verrany przywarł do jego gardła.

– Puść... – powiedział kobieta spokojnym głosem, który łowcy wydał się wyjątkowo nienaturalny na tle ryków potwora, krzyków rozrywanego najemnika i łkania przerażonego chłopca.

Widział już kiedyś taki wzrok, dawno temu podczas polowania. Takim spojrzeniem obrzuciła go wilczyca gotowa walczyć do końca w obro-

nie swoich młodych. Wtedy zrezygnował z walki ze zwierzęciem, teraz także ustąpił.

Zaciśnięte pięści mężczyzny rozwarły się. Nie znalazł żadnych odpowiednich słów, po prostu rzucił się w kierunku ludzi zebranych na skraju wsi.

Kobieta zignorowała to zupełnie i z nożem w dłoni popędziła na potwora. Po drodze minęła rozciągnięte ciało w czerwonym pancerzu, z którego wciąż sterczały czarne szpikulce. Drugi z najemników też był już martwy, jego truchło, z rozoranym torsem i urwaną głową, leżało nieopodal.

Podczas walki z trójką uzbrojonych najemników kreatura ani na chwilę nie puściła chłopca z dłoni.

– Puszczaj mojego syna, bydlaku – wydarła się Verrana, biegnąc na potwora.

Zakrwawiona dłoń monstrum sięgała właśnie w kierunku ostatniego z najemników, stojącego przy dziecku oplecionym drutem kolczastym. Nie ruszało się, ale mężczyzna mimo to próbował je ratować. Za swój mały akt szlachetności przyszło mu jednak zapłacić najwyższą cenę – ostrze mężczyzny leżało wyszczerbione na ziemi, a w jego klatkę piersiową wniknęła głęboko wysunięty szpon.

Bohaterski najemnik właśnie dogorywał, czując, jak opuszcza go życie, i nie mogąc uwierzyć, jak żalosny koniec go spotkał. Potwór trzymał pysk blisko jego ciała, jakby rozkoszując się zapachem śmierci. Zaprzeszał tego, gdy nóż Verrany zagłębił się w udzie bestii.

Ostrze nie weszło głęboko, twarda skóra stawiała opór, ale to wystarczyło, by zwrócić uwagę potwora. Odwrócił się z zadziwiającą prędkością i machnął, jakby odganiał namolnego insekta. Verrana poleciała na kilka metrów, wypuszczając z ręki nóż. Poczuli, jak wpada plecami w wielką kałużę błota wymieszanego z krwią najemnika.

Była zamroczona i czuła ogromny ból przy każdym ruchu, nawet gdy oddychała. Mimo to usiadła w błocie, podtrzymując się jedną ręką. Druga, dziwnie bezwładna, zwisała wykrzywiona pod nienaturalnym kątem.

Mieszkańcy Bermeld nie ruszyli jej z pomocą. Przez cały czas w milczeniu przypatrywali się spektaklowi pełnemu makabry, dramatyzmu i ludzkiej bezsilności. Dopiero podnoszeniu się z błota poturbowanej Verrany towarzyszyły ciche westchnienia, szepty, szmery, które z każdą chwilą zmieniały się w coraz głośniejsze komentarze.

Rozszarpie ją.

Potwór pożre nieczystą.

Zabierze ją w las.

Kolos stał bez ruchu, ciężko dysząc i wpatrując się w nią, tak jakby zastanawiał się nad tym, co zrobił. Jego nastroszone, przypominające kolce włosy opadły. Przestał uważać powaloną kobietę za zagrożenie.

Oczy Gessana były otwarte i spoglądały na nią.

– Mamo! – jęknął, wyciągając do niej ręce i wierząc się niczym mała myszka pochwycona przez kota. – Mamo! Mamo!

– Proszę. Oddaj mi go, tylko on mi pozostał... – Spojrzała w ślepią bestii załzawionymi oczami, brudna od błota i krwi.

Potwór w jakiś dziwny, niezrozumiały sposób zdawał się rozumieć każde jej słowo, ale jego oczyska ani na chwilę nie straciły nic ze swej drażności. Mruknął coś przeciągłe i odwrócił się do kobiety plecami, nie puszczając chłopca. Stanął przodem do ogrodzenia i rozciągającej się za nim łąki ogromnych, nieprzebytych bagnisk, pośród których łatwo mógł zniknąć.

– Nie, nie, nie! – krzychała Verrana, kuśtykając w jego kierunku, ale nie mogła już nic zrobić. W jednej chwili stwór wykonał długi sus ponad kolczastym ogrodzeniem i zniknął w gąszczu lasu razem z jej synem.

Verrana opadła bezwładnie na kolana, płacząc i nasłuchując cichnących w oddali krzyków jej ukochanego synka.

Stara Elkra stała na małym wzniesieniu, udawszy się tam po tym, jak oznajmiła ludziom, że musi samotnie pomedytować. Oddała się jednak innej czynności, która nie miała nic wspólnego z oczyszczaniem umysłu czy kierowaniem próśb o mądrość do wyższych bytów. Patrzyła na wszyst-

ko z góry, podpierając się laską i taksując wszystko wzrokiem. Miejsce zabaw dzieci i spotkań ludzi z wioski, gdzie zbierali się przy ognisku, by ucztować, śpiewać i słuchać dawnych legend, zostało zbrukane. Stało się miejscem straszliwej tragedii i od teraz już tylko tak będzie się kojarzyć mieszkańcom.

Ludzie na pewno przypomną sobie legendę o Świętym Drzewie. Zaczną wątpić w jego moc po tym, jak nie udało mu się odegnać potwora, którego lata temu przepędziło w środku nocy. Ludzie już nie uwierzą w jego magiczną moc, mogą też zacząć podważać opiekuńczą siłę Bogów z bagien.

Drugą sprawą była nieudolna szarża najemników. Nie byli w stanie uratować dzieci – jedno rozplątane jak świniaak nożem rzeźnickim, drugie cały czas wisiało martwe na płocie, rozwieszona na nim jak pranie. No i to trzecie, wiecznie problematyczny Gessan, nawet porwany sprawiał liczne kłopoty. Wszystko przez to, że dokonało się to na oczach całej społeczności. Słynni zabijacy, o paskudnej reputacji i legendarnych umiejętnościach walki, wyglądali przy kreaturze z bagien jak banda dzikusów szturmująca zamek z pochodniami i dzidami. Nie będą już samą swoją obecnością paraliżować mieszkańców.

Jak donieśli starsuszce jej wierni akolici, ludzie już szeptają, po co tak naprawdę przybyli żołdacy – teraz te samotne głosy przybiorą na sile i liczbie, z czasem zmieniają się w chór oburzenia i niezadowolonia.

„Niedobrze, niedobrze”, myślała przywódczyni Rygoru, gdy z każdą chwilą rozważała konsekwencje tego, co zdarzyło się na polance na oczach prawie całej wioski i kilkunastu przyjezdnych.

Na polanie znajdowało się teraz więcej najemników z Brygady Czerwonej Stali. Było ich kilkanaście tuzinów, a wraz z nimi wójt Bermeld, którego z daleka można było rozpoznać po złotym diademie i drogim płaszczu podszytym gronostajami. Przemawiał do ludzi, schowany bezpiecznie za swoimi najemnymi psami przed niezadowolonymi mieszkańcami osady.

Sama Verrana po brutalnym porwaniu jej synka straciła siłę i determinację, za których sprawą mogła przeciwstawić się tłumowi. Dusza wyda-

wała się opuszczać jej ciało, jakby zabrana razem z jej jedynym dzieckiem. Dwóch najemników już dawno odciągnęło jej bezwładne ciało z dala od zbiorowiska ludzi; wraz z nimi Verrana szybko i dyskretnie zniknęła gdzieś między niskimi domami.

Teraz, gdy wydawało się, że stwór już nie wróci, mieszkańcy wioski zebrali się licznie na placu. Z początku, zaalarmowani, ruszyli, by pomóc ewentualnym rannym i przygotować się w większej liczbie do odparcia ataku potwora, gdy ten przybędzie po kolejne dzieci. Jednak gdy dowiedzieli się, że chłopiec rzucony przez kreaturę na drut kolczasty nie przeżył, a winna masakrze bestia nie wróciła, ich gniew zwrócił się przeciw Verranie. Oskarżali ją o zwabienie do ich osady potwora przez domniemane złe uczynki i nieodpowiednie wychowanie syna, który pozwalał sobie na samowolne wyprawy do zakazanej części bagniska. Przed linczem powstrzymywała ich tylko ściana złożona z czarnych mieczy, włóczni i okrągłych tarcz dzierzonych przez wojowników z Czerwonej Stali.

Wójt, który mimo swojej paskudnej aparycji potrafił rzucać piękne słowa, już omotał dziki tłum. Starucha, mimo odczuwanej niechęci do tego człowieka, który uważał się za króla osady, podziwiała jego talent dyplomatyczny – miał podwójny język, jak żmija. Sprowadził tu najemników, którzy nie zawahaliby się dla niego zabić mieszkańców wioski, gdyby tylko pomachać im sakiewką przed nosem, i jeszcze zdołałby przekonać wielu tutejszych, że to dla ich dobra i bezpieczeństwa.

Teraz działo się coś podobnego, gdy zrozpaczona matka zeszła z oczu rozwścieczonemu tłumowi, ludzie uważnie słuchali słodkich słów tłustego i elokwentnego wójta. Mówił im o sprawiedliwości, polowaniu na bestię i o tym, że sprawą trzeba zająć się należycie.

Starucha nie słyszała jego słów z racji odległości i tego, że była lekko przygłucha. Sposób jednak, w jaki mówił ten człowiek, nerwowa gestykulacja, spięta postawa ciała, maska sztucznej pewności siebie, którą zakładał przed tłumem, wszystko to ukazywało go jako osobę bezradną, na której

plecy niczym lawina spadał zbyt duży ciężar wywołany tą sytuacją. Obawiała się, że nie tylko ona potrafi to dostrzec.

Staruszka czuła, jak wszystko powoli zaczyna się rozpruwać niczym nitki w starym prześcieradle szarpanym z każdej strony. Atak legendarnej bestii z mokradeł. Czerwona Stal sprowadzona do wioski. Ludzie zaczną też głośniejsze gadać o wypadku na budowie.

Wiedziała, że wraz z tym wszystkim szybko padną pytania o praktykowany Rygor i obyczaję mu towarzyszące.

Plotki, niczym pierze uwolnione z poduszki i porwane przez wiatr, szybko się rozleczą po świecie. Nie uda się już tego powstrzymać, ani jej, ani wójtowi.

– Ciekawe tylko, jakie bestie teraz przybędą do osady... – mruknęła pod nosem stara kobieta.



Elkrze, tak jak wszystkim innym zebranych na polance, umknęła jedna rzecz. Byli zbyt przejęci zamieszaniem i nowymi problemami, by to dostrzec. Wiecznie czerwone liście Białego Dębu poruszały się lekko, ciutko przy tym szeleszcząc. Nie było żadnego wiatru, który mógł nimi poruszać. Wyglądało to tak, jakby drzewo próbowało wydać z siebie delikatny, melodyjny szepot.

2.

SAMOTNA WYSPA

Samotna łódka rybacka sunęła strumieniem wielkiej północnej rzeki z dwójką ludzi na pokładzie. Płynęła spokojnie i pewnie, niesiona powoli po tafli wody. Łódka była prostej, lekko topornej konstrukcji, płaskodenna, tak by ułatwić utrzymanie równowagi i pomieścić dużo sprzętu potrzebnego do połowów. Zupełnie nie pasowała do tego miejsca, gdzie nie można było liczyć na dużą rybę.

Za burtą przesuwiał się leniwie krajobraz gęstych borów przeplatanych dzikimi polami wysokich traw. Kraina miała w sobie dużo pierwotnego piękna pełnego surowości. Nie nosiła na sobie widocznych blizn tych smutnych czasów w postaci wypalonych drzew czy śladów po przemarszu wojsk. Szalejące wojny nie okaleczyły tych ziem. Również magia, która parę lat temu wyrwała się spod władzy człowieka, nie sprofanowała tego miejsca i nie uczyniła go groteskowym, pełnym dziwacznych, wypaczonych stworzeń i wszelkich aberracji.

Pierwsza osoba na łódce – starzec, który swoim prostym strojem i faktem, że pewnie dzierżył wiosło, zdradzał obeznanie z rybactwem – był skupiony na wiosłowaniu. Krajobraz malujący się na linii rzeki intrygował drugą osobę – tajemniczego pasażera, skrywającego się w połach luźnego płaszcza. Kraina wydała mu się czysta, niezmacona i niedotknięta przez żadne zło. Stworzona tak, jak zaplanowali to bogowie.

Luźny płaszcz i kaptur szczelnie go zakrywały, ale po bliższym przyjrzeniu się dało się dostrzec, że ten człowiek o twarzy młodzieńca nosił pod tkaniną solidny pancerz. Również wielki miecz leżący na łodzi zdradzał, że jego właścicielowi nieobcy był fach rycerski. Był Strażnikiem, ostrzem

w ręku Veltriuuma. Rycerzem wyszkolonym w walce i we władaniu mocą świętych pieczęci, które pozwalały mu napelnić duszę boskim ogniem.

Skończył kontemplować krajobraz. Coś mąciło jego myśli, nie mógł wypatrzeć w nim subtelnego planu bogów. Spojrzał spod kaptura w stronę rybaka.

Tored, stary człowiek o skoltunionej czarnej brodzie i poznaczonej zmarszczkami twarzy, nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród innych rybaków, a w miejscu, z którego obaj przybyli, jego przeciętność kłuła wręcz w oczy. Nawet chciwy uśmiezek i błysk w oku, który Strażnik dostrzegł u niego przy pierwszym spotkaniu, wydawały się pospolite.

Mimo to było w tym człowieku coś zastanawiającego. Coś jak wstydlivy sekret skrywany na samym dnie duszy, ukryty za wypływającymi z ust zdaniem. Strażnik nie umiał ubrać tego w słowa. Po prostu czuł. Było to coś na kształt intuicji – dodatkowego zmysłu, który wyrobił w sobie podczas licznych misji i pielgrzymek. Już nie raz miał styczność z doskonale ukrytą wrogością wobec Zakonu Świętego Płomienia. A ten człowiek nieco zbyt łatwo i szybko zgodził się na tę niebezpieczną i bezsensowną wyprawę, nawet jak na mendę, która sprzedałaby swoją matkę za równowartość w złocie.

Strażnik myślami wrócił do zdarzeń wczorajszego dnia.

Przybył do portowego Athrit w dniach dość niespokojnych i burzliwych, które nastąpiły po szybkich zaślubinach władającej miastem hrabiny z jednym z zaciejszych lordów Kestern. Politycznie była to decyzja dobra. Ślub umożliwił zwiążanie ze sobą rodów szlacheckich i dał możliwość włączenia państwa-miasta w struktury arcykapłaństwa Kestern, które było lepszym sojusznikiem i protektorem dla Athrit niż niesławny Azyl, rządony przez wiecznie skłóconych i walczących ze sobą pirackich lordów, stanowiący w istocie zbitek kilku nadmorskich miast i wysp pełnych bezprawia, w którym świetnie czuli się piraci. Arcyksięstwo, ze swoją doktryną wojskową i wszechobecnym ładem, ufundowanym na kodeksie wiary, było gwarantem stabilności dla Miasta Mostów. To zaś nie mogło odnaleźć się

w nowych, niepewnych czasach. Najlepszym tego dowodem miał być widok, jaki Strażnik ujrzał, przechodząc przez centrum miasta, tam, gdzie znajdowały się wielkie fontanny. Piękny ogród z roślinami z całego świata, przestronne deptaki oraz czarne, spalone zgliszcza, które były pozostałościami Wielkiego Uniwersytetu, tej szczypty cywilizacji, jaką magowie wprowadzili do Azylu, jedyne rezerwuaru wiedzy miasta. Nikt nie wiedział dokładnie, kto i dlaczego podłożył ogień pod katedrę nauki, ale popularna była teoria o tym, że zrobili to piraci, którzy niszcząc akademię, chcieli pozbyć się reliktu panowania Magów z Latających Miast. Lubili się obnosić z tym, że z pomocą swojej floty i armat byli w stanie przeciwstawić się czarodziejom, a następnie zmusić ich do wycofania się. Zniszczenie uniwersytetu było dla nich po prostu kolejną formą triumfu, mało chwalebna – zważywszy na czas i okoliczności. Nie wiadomo, czy była to prawda i jakie rzeczywiście były okoliczności tego zdarzenia, ale na pewno ten dzień, gdy ciemny dym dobywał się z płonącego gmachu uniwersytetu nad Miastem Mostów, był dniem, gdy wszyscy zaczęli się zastanawiać, czy Athrit, miasto typowo handlowe, faktycznie powinno wiązać swoje losy z bandytami i piratami.

Przejście na stronę Kestern pozwoliło uniknąć interwencji zbrojnej, do której na pewno by niebawem doszło. Azyl i Kestern z uwagi na głębokie różnice nie przepadały za sobą. Te dwa kraje, po Wojnie Złamanych Różdżek, były jak kochający trunek i wojaczkę wilk morski i bogobojny kapłan, którzy musieli mieszkać obok siebie. Athrit było też furką, która dawała Arcykapłaństwu szeroki dostęp do morza, czego władca Kestern tak bardzo pożałował.

Było to dużo lepszą opcją dla miasta, które po upadku barier straciło swoją bezpieczną i wygodną pozycję i nie mogło liczyć na dobrą wolę władców Azylu, którzy coraz bardziej pogrążali się w wewnętrznych sporach. Wystarczyło tylko, aby mieszkańcy miasta, podobnie jak ich władczyni, otworzyli serca na Veltriuma, nauczyli się go kochać i stosować do jego surowych zasad. Tak uważał Strażnik, jednak – jak to

często bywa – ludzie bardzo powoli i niechętnie otwierali się na światło i dobroć jego boga.

Lokalni możnowładcy i gildie kupieckie – ludzie, którzy najwięcej mogliby stracić na zmianie ośrodka władzy przeniesionego do Farhold – stolicy Kestern, oraz nałożeniu nowych podatków- byli pierwszymi, którzy podjudzali obywateli do buntu i anarchii. Posuwali się nawet do organizowania band szabrowników, siejących chaos w mieście, czy organizując skrytobójcze ataki na ważnych ludzi, którzy popierali nowy ład.

Szybko wyszło na jaw, iż Athrit oprócz tego, że w istocie było bramą prowadzącą do szerokich wód morskich, okazało być także gniazdem pełnym wściekłych szerszeni.

Niedawna wizyta w Athrit rzeczywiście wstrząsnęła Strażnikiem.

Kilku władających magiczną mocą czarodziejów zostało przyjętych przez Athrit po wojnie. Zorganizowani w Gildię znajdującą się w murach miasta, ofiarowali mu swoją lojalność i pomoc. W zamian pragnęli tylko tego, co było dla takich jak oni najcenniejsze – wysokiej wieży, z której mogli spoglądać z góry na miasto, możliwości używania magii bez prześladowań z żadnej strony, a także... realnego wpływu na władzę w mieście. O takich rzeczach jak worki ze złotem i wszelkie wygody już nie wspominając.

Gdy Gildia Magów dowiedziała się o przybyciu Strażnika do miasta, czyli kogoś ze znieprawdzonego przez nich Zakonu Płonącej Wstęgi, stróża wiary niosącego porządek, zagrozili wypowiedzeniem hrabinie lojalności, uznając to za otwartą spolegliwość wobec Arcykapłaństwa i obawiając się prześladowań. Magowie, ludzie kontrolujący moce niewyobrażalne dla przeciętnego śmiertelnika, byli niczym ostrze kata wzniesione nad miastem. Ostrzem, które na jedno skinienie hrabiny mogło spaść na wszystkich zagrażających miastu wrogów pod postacią nieprawdopodobnych mocy: deszczu ognia, rozwierających się mrocznych otchłani czy nawet tak silnych podmuchów lodowatego wiatru, że mógł zamrażać krew w żyłach. Groźba straszliwego gniewu magów do tej pory skutecznie hamowała buntowników, wrogów Kestern i być może nawet samo Bandyckie Państwo

Azyl przed atakiem na niełojalne miasto. Teraz, gdy ostrze nagle przestało być dzierżone przez hrabinę, nie było już pewne, jak długo uda się utrzymać miejscowość bezpieczną od widma zamieszek, a w konsekwencji uniknąć zbrojnych starć wewnątrz i na zewnątrz. Strażnik, jak przystało na przykładowego sługę Niosącego Słowo, pałał awersją do czarodziejów. Doktryna jego Zakonu i przyjęta przez niego wiara nakazywały mu uznawać magów za heretyków i odstępców, władających mocą, której nie powinni posiadać – nie pochodzącą od bogów. Jego awersja miała podłoże nie tylko czysto ideologiczne. Znał dobrze historię, jak każdy członek Zakonu. Wojna Złamanych Różdżek, to ten właśnie konflikt udowodnił, że magii pozostawionej we władzy człowieka nie wolno ufać, bo korumpuje i plugawi ludzi. Sama zaś magia bez imperatywu woli boskiej okazała się nieokiełznanym żywiołem, niszczącym stojących jej na drodze głupców, którzy próbowali stawiać tamy, aby ją okiełznać.

Mimo wszystko, przy całej swojej wrogości dla magów, Strażnik musiał przyznać, że grupa czarodziejów, służąca miastu pod jego względną kontrolą, była mniej groźna, niż gdyby czarodzieje mieli rozejść się po świecie i, dążąc do zaspokojenia swoich chorych ambicji, prowadzili eksperymenty w mrocznych pracowniach lub szukali spełnienia jako hersztowie bandytów albo jeszcze gorzej – jako doradcy na służbie tyranów. Strażnik nie chciał burzyć tego kruchego i osobliwego pokoju, jaki panował w Athrit. Wolał, aby nie doszło do zamieszek lub buntu magów, przez które ucierpiałoby wielu ludzi. Miał też na uwadze to, że Kestern, któremu poprzysiągł lojalną służbę, poczyniło wiele dyplomatycznych wysiłków i poświęciło dosłownie lata na przygotowania, aby przekonać mieszkańców małego państewka-miasteczka do swoich dobrych intencji i szczerości w kwestii chęci zjednoczenia; by ostatecznie w łagodny sposób włączyć je w swoje struktury. Nie chciał niszczyć tej długo i starannie plecionej pajęczynki dyplomacji i dworskich intryg.

Mimo tych niezbyt przychylnych okoliczności musiał udać się do Athrit. „Miasto Mostów” zawdzięczało swój przydomek pięciu kamiennym

mostom, które znajdowały się w obrębie jego murów. Każdy z mostów był solidny i bogato zdobiony masywnymi figurami legendarnych postaci i bohaterów, którzy zapisali się na kartach historii Athrit. Wśród posągów można było dopatrzeć się również mitologicznych stworzeń, nawet smoków, co dla Strażnika było wyjątkowo gorszące i świadczyło o zepsuciu miasta. Cztery wielkie mosty o nazwach pochodzących od czterech stron świata oraz piąty, zwany centralnym, były dumą i chlubą tej miejscowości, przejawem nowoczesnej myśli ludzkiej, arcydziełem sztuki i architektonicznego geniuszu. Jednak przede wszystkim były symbolem bogactwa i poziomu cywilizacyjnego miasta, które dzięki swej przedsiębiorczości, długoletniej neutralności i wpływowym oraz często samowolnym gildiom kupieckim stało się zamożne jeszcze w latach, gdy istniały bariery kontrolowane przez magów. Było wówczas znaczącym partnerem handlowym z potężną flotą morską.

Wszystko to jednak okazało się kruche i wkrótce mogło przeminąć, zwłaszcza teraz, gdy pękły magiczne bariery, które wydawały się mieszkańcom Athrit wieczne i niezniszczalne. Teraz przestały odgradzać miasto od reszty kontynentu, odsłaniając tym samym jego wstydlivy sekret – brak silnej i zdyscyplinowanej armii.

Złośliwy los sprawił, że Miasto Mostów, mimo ciężkiego nastroju politycznego, stało się dla młodego Strażnika koniecznym przystankiem w podróży. Tylko stąd wiodła bezpośrednia droga wodna do miejsca, ku któremu w istocie zmierzał – do Upadłych Mokradel.

Przybył w przebraniu, nie zwracając na siebie uwagi, z fałszywymi dokumentami w kieszeni przepastnego płaszcza. Podając się za wędrownego kupca z odległych krain, dostał się bez problemu do miasta. Jednak jego przybycie zostało dostrzeżone. Niebawem na jednym z mostów Athrit został zaatakowany przez trzech świetnie wyszkolonych podrzynaczy gardeł. Niewątpliwie byli to obywatele Azyłu, zza morza, jak można było wywnioskować z ich strojów oraz stylu walki opartej na sztyletach. Co prawda, udało mu się odeprzeć przeciwników i jednocześnie nie zdradzić swojej

tożsamości, tak że wszyscy gapie mogli to uznać za porachunki gildii, ale Strażnik wiedział już, że nie może czuć się bezpiecznie. Cały czas miał wrażenie, że ktoś patrzy na niego z cienia. Wiedział, jak cenny dla wielu ważnych osobistości może być Strażnik zamordowany w mieście.

Nie marnował więc czasu na zwiedzanie miasta i powolne szukanie transportu na bagna. Chciał jak najszybciej opuścić to niebezpieczne miejsce i ruszyć w dalszą drogę. Jedyne, czego udało mu się dowiedzieć, to to, że nikt z miejscowych nie zapuszcza się na bagna od czasu Upadku. Nikt też dokładnie nie wie, co się dzieje w Bermeld. Jedyne plotki, jakie zasłyszał, dotyczyły tajemniczego potwora z bagien i szlaków budowanych przez mieszkańców osady. Nie było to dla niego nic nowego, wszystko to wiedział już z raportów, które czytał jeszcze w Farhold. Mimo to udało mu się zyskać cenną informację. Pewna osoba w mieście mogła mu pomóc w wyprawie. Właśnie wtedy na jego drodze stanął stary Tored.

Znalazł go nad kuflem piwa w karczmie o uroczej nazwie Dziurawy Kielich. Po krótkiej rozmowie z brodatym starcem stwierdził, że dobrze trafił. Tored wyznał mu, że wychował się w Bermeld, ale opuścił je dawno temu, z powodów, których wolał nie wyjawiać, znalazł też bagna jak własną kieszeń.

Podczas rozmowy, gdy omawiali już szczegóły wyprawy, Strażnik rozchylił płaszcz tak, by stary rybak mógł ujrzeć pancerny kołnierz jego zbroi i symbol Płonącej Wstęgi na torsie. Tored przyjął to wyjątkowo lekko. Sakiewka, którą Strażnik celowo odsłonił, aby Tored mógł ją dojrzeć swoimi chciwymi oczkami, z pewnością również miała niebagatelny wpływ na jego decyzję.

Jak się dowiedział, stary człowiek nie przepadał za Kestern, jednak nieudolne rządy hrabiny też mu nie odpowiadały. Mimo to załatwienie spraw przed ołtarzem i oddalenie wojny uważał za najlepsze możliwe wyjście w tych dziwnych i niespokojnych czasach. Teraz, bez Latających Miast i barier, miasto nie mogło już liczyć na wygodne życie z handlu morskiego, prowadzonego pod kuratelą straszliwych magów. Athrit musiało dostoso-

wać się do nowej sytuacji. Było oczywiste, że nie może sobie pozwolić na wygodną neutralność. Miasto Mostów nie da rady obronić się samo w razie inwazji, będąc w dodatku kością niezgody między Bandyckim Państwem Azyl a kierującym się dogmatami i żelaznym kodeksem Arcyksięstwem.

Dlatego Tored, jak sam twierdził, zgodził się na tę wyprawę.

Właśnie w tym momencie wzbudził podejrzania Strażnika. Ludzie tacy jak on, rybacy na małych łodziach, zwykli szarzy mieszkańcy, ucierpieli najwięcej przez sojusz i wrastanie w struktury Kestern. Nowe podatki, atmosfera tłęcej się rebelii, ograniczenia połowów (hrabina za namową małżonka wołała skoncentrować się na flocie handlowej i nowych stocznich) musiały być uciążliwe również i dla niego. Tacy jak on nie interesowali się wielką polityką i dworskimi intrygami.

Ten stary człowiek powiedział mu dokładnie to, co Strażnik chciał usłyszeć. Coś mu tu jednak nie pasowało i wyczuwał podstęp, ale nie miał wielkiego wyboru. Chciał jak najszybciej opuścić miasto i ruszyć dalej.

Jeszcze tego wieczoru Tored w towarzystwie swojego tajemniczego zleceniodawcy udali się do portu, aby cichaczem, pod osłoną nocy, opuścić miasto. Teraz, gdy wplynęli na kręte rzeczułki, niewielkie zbiorniczki i pomiędzy małe, porośnięte rzadką roślinnością wysepki, zdarzenia zeszłej nocy wydały mu się bardzo odległe. Musiał skoncentrować się na swojej misji.

– Nie boisz się? – odezwał się chłodnym głosem Strażnik.

– Nie, nie – odpowiedział stary jakby wyrwany ze snu. – Niby czego mam się bać?

– O Upadłych Mokradłach krążą liczne opowieści, zwłaszcza po tym, jak zalała je magia z barier.

– Aaa, o to chodzi – uśmiechnął się, jakby Strażnik opowiedział kiepski kawał. – Opowieści o wielkich pijawkach, które wciągają ludzi pod wodę, i przerośniętych żółwiach błotnych, potrafiących roztrzaskać łodzie to legendy i bajdurzenia.

– Tagolt nie są bajdurzeniem.

Tored przez chwilę milczał.

– Nie. Nie ma ich już tutaj, panie.

– Jak to? Byli na mokradłach od zawsze, na długo przed ludźmi. Podobno mieli tu swoje wylęgarnie.

– Tak było, ale to się zmieniło. Sporo się na bagnach zmieniło – odparł lakonicznie.

Mężczyzna w płaszczu pochylił się lekko w jego stronę. Dał tym samym znać przewodnikowi, że słucha go dalej.

– Bo widzicie, panie... Łuskoskórych już nie ma. Podśledzałem kilka ciekawych plotek...

– Mianowicie?

– Do wioski na bagnach przybyła grupa najemników. Odzianych w solidne pancerze i dobrze wyekwipowanych. Podobno przepędzili z bagien Tagolt. Zmasakrowali ich i zniszczyli ich siedliska. Tak by stwory więcej tu nie wracały. Nie wiem, czemu postanowili bawić się z nimi w wojnę.

– To zastanawiające, nie sądzisz? Przetransportowanie oddziału najemników przez mokradła nie jest łatwe, a walka z rdzennymi mieszkańcami bagien na ich własnym terenie na pewno też była trudna. Te łuskoskóre diabelstwa były ogromne, szybkie i wręcz ociekały jadem. A broniły swoich terenów zajadłe niczym zdziczałe psy. Po co ktoś miałby robić coś tak nieopłacalnego, kosztownego i trudnego do zorganizowania?

Przez chwilę mężczyzna z mieczem zdawał się nad czymś rozmyślać.

– Sporo wiesz – skwitował krótko. – Wiedziałeś o tym, że w drodze na mokradła unikniemy spotkania z Tagolt?

– Gdybym tego nie wiedział, nigdy nie zgodziłbym się na tę podróż.

Słowem, nie okłamał go. Tored wiedział, że w czasie tej idiotycznej wyprawy nie spotkają rdzennych mieszkańców bagien, co go cieszyło, bo spotkanie z tymi pokracznymi ni to płazami, ni to gadami udającymi ludzi na pewno źle by się skończyło. Jednak tak samo jak miał pewne informacje, że Tagolt nie ma już na mokradłach, tak samo wiedział, że tamtego wieczora w tawernie zjawi się osoba, która będzie szukała transportu do Bermeld. Jednak tą informacją już nie zamierzał się dzielić ani tym bar-

dziej tym, kto i dlaczego wynajął go do dostarczenia Strażnika do Bermeld. Wiedział tylko, że jeśli wycofa się z powierzonego mu zadania albo powie Strażnikowi o wszystkim – czekają go straszliwe konsekwencje. Musiał cały czas grać swoją rolę, chociaż czuł, że rycerz coś podejrzewa. Moment, w którym ujawnił mu, że jest Strażnikiem, i pokazał swoją wypraną z wszelkich emocji twarz, był dla niego przerażającą chwilą. Całe jego ciało krzychało do niego, że dał się władować w niezłą kabałę i jeśli popłynie z tym człowiekiem, to na pewno nic dobrego z tego nie wyniknie. Jednak wiedział też, że nie może się już wycofać.

Teraz, gdy już wpłynęli między wystające z wody czarne drzewa, szczelnie zakrywające słońce gęstym, zgniłozielonym listowiem, i zaczęły do nich docierać dzikie odgłosy bagniska, starał się mieć nadzieję, że ta cała wyprawa nie okaże się jednym wielkim błędem. Tajemniczy pasażer wyrwał go z zadumy, ponownie zwracając się do niego.

– Bardzo lubisz złoto, starcze – rzekł, wpatrując się w niego swoim chłodnym spojrzeniem. – Ciekawe, wiele byś dla niego zrobił...

Właśnie wtedy Tored poczuł autentyczny, niczym nieokiełznany strach przed Strażnikiem.



Strażnik kazał obrać Toredowi drogę najgorszą z możliwych. Stary chciał za wszelką cenę uniknąć podróży przez tę część bagniska, w którą się zapuścili. Jego proste zadanie, które miało polegać na przetransportowaniu wędrowca do Bermeld, z każdą chwilą ulegało zagmatwaniu i kolejnym komplikacjom. Najgorsze jednak było to, że Strażnik dobrze go ocenił – dla złota zrobiłby wszystko. Dlatego też, gdy tajemniczy blondyn zaferował mu więcej monet, zgodził się obrać zasugerowaną mu ścieżkę wodną. Wiedział, że będzie tego żałować, ale i tak uległ. Nie ze strachu przed wyjściem z roli nic niewiedzącego rybaka, ale dlatego, że kochał blask złota i brzęk monet.

Cały czas wiosłując, zastanawiał się: czemu akurat to miejsce?

Jak dużo Strażnik wiedział o sytuacji w mieście?

Stary bał się odezwać, czując, że z jego napiętej postawy i drżącego jak struna głosu można było i tak zbyt dużo wywnioskować.

Płynęli więc w ciszy. A wokół nich zmienił się krajobraz.

Ogromne mokradła będące częścią wielkiego zbiornika, pełnego mętnej wody i powykręcanych drzew, tłoczących się na brzegu, a czasem wnikających w wodę, wspierających się na potężnych konstrukcjach z korzeni. Ten ponury, dziki krajobraz malował się wzdłuż poskrecanych kanalików, które niczym szerokie wstęgi ciągnęły się między kawałkami cienkiego łądu, przeplatając się wzajemnie, skręcając i tworząc wielki wodny labirynt. Mimo że wszystkie czarne drzewa, szuwary i całkiem spore wysepki pośrodku rzeczulki wyglądały identycznie, tajemniczy pasażer zdawał się wiedzieć dokładnie, w którym kierunku łódka ma zmierzać.

– Ja nadal uważam, że to zły pomysł – ośmielił się powiedzieć Tored.

Mężczyzna przez chwilę milczał, przypatrując się jednej z wysepek na środku naturalnego kanału. Wszystkie one przywodziły na myśl skorupy ogromnych żółwi, pokryte błotem i skąpą roślinnością.

– Zabawne jest to, że im bliżej Bermeld się znajdujemy, tym jesteś bardziej nerwowy, staruszk.

– Nie o to chodzi! – Pokręcił energicznie głową. – To nie jest najkrótsza i najbezpieczniejsza droga do Bermeld.

– Wiem, ale już określiłem, jaką drogą będziemy podążać – odrzekł chłodno Strażnik.

– Ludzie gadają różne rzeczy o bagnisku.

Kaptur pochylił się w jego kierunku.

– Czy chodzi o to, że pod wodami bagna śpi smok Ambarux? – Zaciśniętą pięść, tak że metalowa rękawica aż zgrzytnęła. – Potwór, który podobno nocami budzi się i podnosi swój wielki węzowy łeb, aby przeczesywać bagniska w poszukiwaniu nieszczęśników, którzy byli na tyle głupi, by zapuścić się w pobliże jego grobowca z błota i drzew?

Przez chwilę Tored patrzył na niego, wyraźnie zaskoczony tym, że Strażnik znał tę legendę i mówił o niej tak cynicznie.

– Te legendy nie wzięły się znikąd – odparł chłodno. – Wszyscy wiedzą, że smoki już dawno wyginęły. W dniu, w którym rzuciły wyzwanie bogom i ruszyły na ich krainę. Skąd wiesz, czy któraś z tych bestii nie ocalała?

– I naprawdę wierzysz, że jeden z nich śpi tu, pod bagiennym mułem, i upadli bogowie go pilnują? – powiedział i znów zaczął spoglądać w stronę brzegu, gdzie ciągnęła się linia drzew. – Nigdy w to nie uwierzę. Ta kraina jest zła i okrutna z innego powodu niż wielka gadzina śpiąca pod ziemią.

Strażnik zamilkł, jakby nagle skuł go lód.

Stary zauważył, że coś zaczęło się kotłować w duszy jego towarzysza. Czuł, że nie ma sensu ciągnąć tego ponurego, mitologicznego wątku. Postanowił zagrać inaczej:

– Chodzi o to, co się dzieje w osadzie.

– To znaczy...?

Tored wbił wiosło w mijaną przez nich wysepkę. Odepchnął łódź od miękkiego podłoża, które mlasnęło. Łódka skręciła w jedną z wodnych odnóg.

– Zaraz sam się przekonasz.

Gdy drewniana łódka wychynęła zza jednej z wysepek, oczom podróżnych ukazał się straszny widok.

Przed nimi znajdował się pas wykarczowanego lasu i ogromna połać błotnistej ziemi. Pnie ściętych drzew sterczały niczym patyki wetknięte głęboko w błoto. Obok nich tkwiły powykrzywiane rusztowania i obrośnięte mchem i innym zielskiem narzędzia, pozostawione tu jako dowód tego, że ludzie ze swoją pracą nad szlakiem dotarli aż tutaj, by ulec siłom natury. Strażnik zrozumiał, jak straszliwa była to porażka, gdy ujrzał bładą dłoń z palcami oskubanymi do kości.

Po chwili zobaczył ponad dwa tuziny tak samo białych kończyn, a oprócz nich umazane w błocie i krwi czaszki z wydziobanymi oczodo-

łami, przez które wlewał się szlam. Widać też było dziwnie wygięte zwłoki, jakby kilku nieszczęśników sprawdzało, jak długo można wstrzymać oddech w mule. Wszystko to wyglądało jak ponury plon zasadzony przez samą śmierć.

Co najmniej kilka tuzinów ciał znajdowało się w tym wspólnym błotnym grobie. Rozrzucone nieskładnie wokół nich deski świadczyły o tym, że miała tu miejsce jakaś pośpieszna akcja ratunkowa.

Strażnik przez chwilę przypatrywał się pobojowisku, temu pokazowi ludzkiej bezsilności i desperacji. Zastanawiał się, jakiego straszliwego zjawiska świadkiem było to miejsce.

– Czy historia o najemnikach i Tagolt ma ciąg dalszy? – spytał.

Stary skinął głową, ale nie spieszył się z odpowiedzią.

– Gdy najemnicy wyparli Łuskoskórych, wówczas szalony wójt Bermeld zaprzągnął ludzi do budowy szlaków handlowych. Chciał otworzyć osadę na wielki świat. Mówił dużo o tym, jak to świat się zmienił po Wielkim Upadku, głównie operował pięknymi sloganami, które rozpalaly zapał bagniarzy do morderczej pracy. Nie wspomniał jednak o tym, że najemnicy zostają w osadzie, niczym zwycięska armia najęźdźców. Ludzie tego nie wiedzieli, nie chcieli wiedzieć. Obietnica bogactwa zagłuszała ich rozsądek za bardzo, by mogli zrozumieć, że zamienili jednego wroga na drugiego.

Strażnik uważnie słuchał jego słów, cały czas lustrując miejsce tragedii.

– Wtedy postanowiłeś, że czas uciekać z wioski, staruszku?

Stary pokiwał posępnie głową.

Strażnik kontynuował:

– Kiedy okazało się, że bagniarze stali się zakładnikami zaprzęgniętymi do niewolniczej pracy?

Tored znów pokiwał głową.

– Któregoś dnia w karczmie w Athrit spotkałem pewnego miłośnika owadów z jakiejś akademii nauk. Podobno razem z trójką swoich asy-

stentów przybył na tyle blisko wioski, by móc zobaczyć, co się tam dzieje. Wrócił sam z tej wyprawy, bo Czerwona Stal wypatrzyła go wśród zarośli, a ci ludzie cenią sobie dyskrecję. Pierwszego z towarzyszy rozszarpały psy puszczane za nim w pogoń, a kolejni byli daniną, o którą upomniało się trzęsawisko. Jakieś wężowate monstrum ściągnęło ich do wody.

Strażnik patrzył na niego, a Tored w myślach modlił się, by Obronca Wiary nie zaczął go podejrzewać, że gadka o trzech owadoznawcach była kłamstwem. Dużo słyszał o okrucieństwie Wstęg, gdy ci chcieli pozyskać informacje, a sam Strażnik z twarzą pokerzysty nie dawał nic po sobie poznać.

– Arcyksiążę albo któryś z wysokich duchownych ze świętego Kestern wie o tym, co dzieje się w mieście?

– Wątpię – powiedział stary i wziął wiosło w obie dłonie, uznawszy, że już dość napatrzili się na to miejsce. – Osada niewiele mogła zaoferować któremukolwiek z wielmożów – czy to z Arcykapłaństwa, z Marchii, czy z Azyłu. Ta wioska mało kogo obchodzi.

Przez chwilę stary i jego tajemniczy towarzysz patrzyli jeszcze na oddalający się obraz tragedii i beznadziei. Rybak w ciszy machał wiosłem, tak by łódka jak najprędzej oddaliła się od tego miejsca; twarz młodzieńca skryła się znów w kapturze. Tak samo jak ukryta była twarz Strażnika, tak samo jego myśli były nie do odgadnięcia.

Udali się w dalszą podróż wodnymi ścieżkami Upadłych Mokradeł. Łódka w ciszy sunęła między wysepkami po brudnej, bagnistej wodzie. Nie musieli płynąć długo, by dotrzeć do miejsca, które każdy wędrowiec przemierzający bagniska musiał minąć. To właśnie tu ciekł wodny przecinały się, tworząc duże rozlewisko, pośrodku którego znajdowała się – owiana legendami – Smocza Latarnia. Już z daleka, ponad horyzontem drzew widać było jej charakterystyczny zarys. Wyspa była tak duża, że wyrósł na niej mały bór.

Ogromna wyspa przybliżała się z każdą chwilą do Strażnika i Toreda.

– Naprawdę tam płyniemy? – Młody odwrócił się w stronę starca.

– Musisz mi wybaczyć, panie, ale chcę się tam na moment zatrzymać. – Mówiąc to, zaczął szybciej wiosłować. – Mam tam coś do załatwienia. Coś bardzo istotnego.

– Dziwne... Jesteś przerażony – stwierdził Strażnik.

– Tak... Ludzie powiadają, że do tamtej tragedii na bagnach doszło, bo nie oddali czci Czterem Bogom i ci nie zapewnili im należytej ochrony.

Strażnik wzruszył ramionami.

– Ja wierzę, że było inaczej. – Tored zacisnął dłonie na wiosła z taką siłą, że pod jego starą pomarszczoną skórą widać było siatkę żył. – Ludzie z Bermeld mówią, że to przez smoka! Smoka, który spadł kiedyś z nieba, gdy smocze pomioty ośmieliły się rzucić bogom wyzwanie. W czasach, gdy plugawe i pragnące nieśmiertelności smoki wtargnęły do krainy bogów i rozgorzała straszliwa bitwa. Wtedy to jeden z wielkich latających behemotów Ambarux został pokonany przez czterech bogów. Gadzina została dotkliwie ranna, ale bogowie nie byli w stanie zabić kolosa. Teraz smok śpi głęboko pod mułem bagniska, a bogowie czuwają, by się więcej nie przebudził i nie zaczął siać zniszczenia. Czterej Bogowie chronią ludzi z bagna przed nim i przed innymi niebezpieczeństwami, to dzięki nim i ich łaskom bagniarze przez tak długi czas tu przetrwali. Tylko że bagniarze nie oddali należycie czci swoim bogom. Zapomnieli o nich po tym, jak łuskacze zniknęły, a sami zaczęli spędzać całe dnie na wyrębie drzew. A o bóstwach opiekuńczych nie wolno zapominać... Nie, nie, nie... Tamtego dnia, gdy doszło do tragedii, bogowie odwrócili się od nich. Kiedy zbliżali się do tamtego miejsca, stukot młotków i huk powalanych drzew zbudziły smoka, a ten otworzył swoją paszczę głęboko pod mułem, a zawsze, gdy smok Ambarux tak robi, błota bagien i muł zmieniają się w trzęsawiska, które wciągają nieszczęśników do swojej paszczy!

Tored skończył przemowę.

– Po prostu bagnisko upomniało się o swoją zapłatę za ludzką głupotę i zuchwałość. Trzeba być szalonym, aby w takim miejscu budować szlak – skwitował Strażnik.

– Mówisz tak, bo słyszysz innemu bogu. – Pokręcił nosem stary.

– Nie... mówię tak, bo uważam, że takim gadaniem o prastarym uśpionym smoku i zrośniętych upadłych bogach ludzie tłumaczą sobie to, co gołym okiem jest widoczne. Po prostu nie chcą przyjąć tego do wiadomości, bo musieliby przyznać, że do wypadku doszło z ich własnej głupoty i lekkomyślności, i że ich bogowie wcale tak się o nich nie troszczą, jak im się wydawało.

Tored na chwilę zwolnił wiosłowanie.

– A czy Veltrium też nie działa w taki sposób, Strażniku? Nie daje znaku swej obecności, a ludzie i tak ślą do niego swoje modły. Przecież wiemy, że tak jest teraz ze wszystkimi bogami. Czemu inaczej miało być z Bogami Opiekunami z bagien?

– Masz trochę racji, staruszk... – odpowiedział. – Ale ja ufam w to, że Veltrium gdzieś tam jest, jak inne wyższe byty, które przetrwały walkę z Królem Demonów, ale z jakichś powodów nie mogą albo nie chcą do nas wrócić. Veltrium, w przeciwieństwie do innych bogów, pozostawił nam zadanie. Chce, abyśmy upatrywali jego subtelnej woli w naszej drodze życia i z jego pomocą, będąc zakotwiczonym w jego wierze i czując jego opatrność, stawiali czoła wyzwaniom, jakie niesie nam los. Tak możemy stać się lepsi. Takimi, jakimi Dający i Zabierający Cierpienie chce nas widzieć. Owszem, Veltrium jest surowy, chłodny i wymaga poświęceń, ale nikomu nie kazałby siedzieć na śmierdzących bagnach, wędznąć niczym kwiat i wierzyć w durne zabobony.

Stary znów zaczął wiosłować szybciej.

– Piękne słowa, młody idealisto o gorącym sercu. Jednak w imieniu Veltriuma ludzie też dokonywali strasznych rzeczy...

Strażnik milczał. Doskonale wiedział, o czym mówi stary rybak.

– Nie ma wiary idealnej, tak jak nie ma na wskroś doskonałego bóstwa ani wiernego, który byłby wolny od wszelkich grzechów i przewinień. Proszę cię, zatrzymajmy się na chwilę. Pozwól mi złożyć skromną ofiarę i odprawić kilka modlitw. To bardzo ważne dla mnie. Mam nadzieję, że w ten sposób nie urażę Świętego Płomienia.

Młodzieniec nie odezwał się ani słowem. Jedyne pokiwał głową.

Cały czas spoglądał w kierunku zbliżającego się łądu. Dostrzegł zarys wyspy. Już stąd widać było na jej szczycie wielką kamienną figurę przedstawiającą jakąś pokraczną istotę.

– Wiesz co, staruszkule... Twoja wiara w to, co mówiłeś, musi być naprawdę silna. Bo jeśli faktycznie jakaś bestia spoczywa pod Upadłymi Mokradłami, to z pewnością znajduje się w tym miejscu.



Gdy dotarli do Smoczej Latarni, stary mężczyzna zacumował łódź, zawiązał sznur na jednym z wystających z wody czarnych pali, które zapewne stanowiły pamiątkę po zniszczonym mostku.

Strażnik stał na suchym, kamiennym brzegu wyspy, skąd miał doskonały widok na cały teren. Zielone drzewa o złuszczonej się korze, powyginane jakby przez olbrzymy, nie różniły się prawie niczym od innych drzew na bagnach. Szuwary o zgniłozielonym kolorze. Wszystko to stanowiło stały element bagiennej flory. Nawet tak charakterystyczny dla Upadłych Mokradel fetor zgniłych roślin i butwiejącego drewna był tu taki sam. A jednak czuło się w tej wyspie coś obcego, jakąś nieokreśloną inność. Powietrze wydawało się wyjątkowo ciężkie i nie słychać było żadnego owada ani zawodzenia ptaków, tak jakby to miejsce było nawiedzone.

Strażnik spojrzął na szczyt wzniesienia na wyspie, właśnie tam, gdzie tkwił kamienny posąg, któremu wyspa zawdzięczała swoją nazwę i złą reputację. Pokraczna rzeźba zdawała się górować nad całym tym kawałkiem łądu i w jakiś subtelny sposób zakrywać to miejsce cieniem. Pozornie tradycyjny, posąg przedstawiający cztery zapomniane bożyszcza, czczone przez bagniarzy jako bóstwa opiekuńcze, różnił się od innych pomników tego typu. Twarze, wyrastające z jednego drewnianego rdzenia, nie patrzyły każda w inną stronę, ale wszystkie były skierowane ku schodom, tak by swoimi wylupiastymi oczami spoglądać na przybywających.

Rybak również wydawał się przytłoczony atmosferą tego miejsca. Gdy szedł po kamiennych schodkach, przygarbiony i opatulony szczelnie swoim ciemnym płaszczem, wyglądając jak jakiś cień powoli wędrujący ku tajemniczej rzeźbie.

Strażnik, ociągając się, ruszył za nim po kamiennych schodach.

Tored stanął na szczycie góry i pochylił się przed ponurym posągami. Na małym ołtarzyku znajdującym się u podstawy solidnej rzeźby umieszczył dwa haki rybackie, nie były to cenne przedmioty, ale z pewnością dla rybaka żyjącego z połowu miały szczególną wartość, a takiej ofiary Bóstwo o Czterech Złowrogich Twarzach oczekiwało. Haczyki wpadły do niewielkiego wgłębienia w deseczce i zabrzcęczały, uderzając o tkwiące tam przedmioty – drewniane figurki, kawałki połamanej porcelany, zardzewiałe gwoździe, nóż do masła, kłębek włóczki, zasmarowaną chusteczkę. W tej małej graciarni można było znaleźć kilka cennych przedmiotów, takich jak złote monety, broszki czy zdobiony sztylet, ale nikt nie ważył się ich zabrać.

Wyczuwszy za sobą obecność Strażnika, stary mężczyzna zaczął mówić, a jego głos był cichy i pełen skupienia, jakby odmawiał modlitwę:

– Przedmioty są różnorodne, bo wedle zwyczaju każdy, kto chce bezpiecznie przekroczyć to przeklęte miejsce, musi pozostawić tu cenny dla siebie dar. Człowiek sam musi ocenić, ile jego bezpieczna podróż przez Upadłe Mokradła jest warta, a Zapomniani Bogowie zdecydują, czy подарowana przez niego zapłata była stosowna.

– Jeśli ofiara nie będzie wystarczająca – kontynuując, ścisnął mocno kamień – jeśli cenisz jakąś rzecz bardziej niż swoje życie i zdrowie... Jeśli próbowałeś oszukać starych bogów... Wówczas oni odwrócą się od ciebie podczas przemierzania bagien, a wtedy smok usłyszy twoje kroki i się przebudzi. Rozewrze swoje szczęki i bagniska wciągną cię głęboko pod ziemię, w sam środek jego paszczy.

Stary mamrotał coś jeszcze przez moment pod nosem, nie zwracając uwagi na małomównego towarzysza. Po paru chwilach wyprostował się

i popatrzył na figurę Czterech Bogów. Jego wzrok zatrzymał się na wielkim drewnianym pniu, z którego wyrastały przeplatające się macki zakończone twarzami. Spojrzał we wgłębienie, gdzie znajdował się dawno zakrzepły wosk po spalonych świeczkach.

– Z tym posągiem wiąże się też inna opowieść, prawda? – spytał Strażnik beznamiętnym głosem.

– To tylko bajka, panie... Opowieść do straszenia niegrzecznych dzieci...

– Bagniarze to bardzo religijni ludzie, więc na pewno ta opowieść jest ciekawa.

Stary przez chwilę milczał, jakby szukając odpowiednich słów.

– To także dotyczy smoka Amburaxa – powiedział to szeptem, tak jakby wypowiedzenie smoczego imienia z legendy było grzechem. – Kiedy kreatura wdycha powietrze, bagniska zmieniają się w ogromne trzęsawisko, pochłaniają i wciągają ludzi, ale smocze trzewia są tak silne, że wciągną nie tylko człeka, niedźwiedzia czy trolla. Lata temu, podczas Wielkiej Wojny Magów ugrzęzło tu kilka wielkich, kroczących maszyn, kontrolowanych przez czarodziejów. Ludzie z Bermeld wierzą, że tak długo, jak oddają cześć starym bożyszczom, pozostałości po armii czarodziejów nie powstaną z mułu, aby mścić się za ośmieszenie ich twórców. Tak długo, jak zasady Rygoru są przestrzegane, ludzie zyskują sobie przychyłność Starych Bogów. Umacniają ich swoją wiarą i codziennym świadectwem życia. To dzięki tym regułom przetrwali tu, i to one chronią ich przed armią pogrzebaną w mule i śpiącym złym w postaci smoka. Każdy, kto żyje na bagnach, musi żyć zgodnie z Rygorem i jego zasadami. Zasadami, które określają tutejszy porządek życia. Mówią, jak świętować najdłuższe dni lata, jak polować, kiedy zapuszczać się w głuszę i jak oddawać cześć Starym Bogom, tak by zawsze otaczali oni to splugawione miejsce swoją opiekuńczą, boską mocą, żeby pogrzebana w mule armia się nie przebudziła.

Stary odwrócił się do posągu i spojrzał na jego cztery gniewne twarze wpatrzone w niego, po chwili jego wzrok powędrował niżej i znów zatrzymał się na szczelinie ze śladami wosku i osmoloną korą.

– Wszyscy dorośli wyznają zasady Rygoru, ale nie dzieci, te małe paskudy mają zbyt pstro w głowie, by zrozumieć, jak ważna jest wiara. Od najmłodszych lat wychowywane są w wierze w Czterogłowe Bóstwo, ale raz na pewien czas, bardzo rzadko, jakieś dziecko złamie zasady dane przez Starych Bogów. Wtedy taki mały człowiek, aby nie sprowadzić zguby na całą wioskę, poddawany jest próbie smoka Amburaxa. Strasznemu rytuałowi, w którym to zamaskowane postacie w ciemną noc dokonują niesprawiedliwego sądu na dziecku, ku przestrodze innych przed złamaniem Rygoru, i wyganiają je z wioski tylko ze świeczką. W noc, w którą, jak wierzą ludzie z bagien, sam Ambarux, ciesząc się ze złych uczynków małych dzieci i osłabienia mocy Starych Bogów, unosi wysoko swój łeb, tak że jego wielkie nozdrza i bystre, chytne oczy są ponad mułem. Małe dziecko ma w ciemną noc dotrzeć na tę wyspę i zapalić świeczkę, tak by uspokoić bestię i przywrócić łaskę bóstw.

Zapadła cisza. Stary odetchnął mocno, jakby wielki ciężar spadł z jego duszy.

– Chciałem, abyś to usłyszał, młodzieńcze. Bermeld to nie miejsce dla ciebie, jak sam widzisz, lepiej zawróćmy do miasta i...

Tored urwał swoją opowieść, bo właśnie teraz dotarło do niego, że słyszy lekki metaliczny szelest, tak charakterystyczny dla wyciąganej broni. Odwrócił się w stronę Strażnika, a to, co ujrzął, przeraziło go.

– Znałem tę opowieść, staruszkule – powiedział, chwytając mocno swój wielki miecz. Jego twarz i oczy były jak maska, nie malowały się na nich żadne emocje. – Ale teraz nie podoba mi się jeszcze bardziej.

Tored, przerażony tym, że obraził Rycerza Veltrium, padł na kolana, rozłożył ręce, ale nie był w stanie wydusić z siebie sensownego słowa. Patrzył ze strachem, jak wielkie ostrze pędzi w jego kierunku.

Zamknął odruchowo oczy, by po chwili stwierdzić, że jego życie wciąż trwa.

Za sobą usłyszał głucho uderzenie.

Otworzył oczy i zobaczył młodzieńca stojącego z tą samą niewzruszoną miną, ale gdy spojrział za siebie, zauważył, że posągu za nim już nie ma. Leżał na ziemi, ścięty poniżej połowy, niczym drzewo powalone przez drwala.

Stary popatrzył na mężczyznę.

– Coś ty zrobił... – wykrztusił, wstając z kolan. – Coś ty zrobił, here-tyku!

Ten milczał. Nic nie odpowiedział ani nie obdarzył go nawet krótkim spojrzeniem. W skupieniu przymocowywał swój wielki miecz do uprzęży.

– Żałuję, że cię tu sprowadziłem. Chciałem przemówić ci do rozsądku, a ty sprowadzisz na nas zgubę... Głupcze! Odstępcu! Heretyku! Teraz smok na pewno się przebudzi!

Starzec minął go i puścił się pędem w dół, w kierunku łódki.

Strażnik powoli ruszył za nim po schodach.

– Już to kiedyś słyszałem. Lata temu – powiedział sam do siebie.



Tored, pędząc na łeb, na szyję, zbiegł z kamiennych schodów. Nie oglądał się, czy Strażnik podąża za nim. Biegł przed siebie, chcąc opuścić to miejsce jak najszybciej.

Wpadł na kamienną plażę i wskoczył do płytkiej wody, w pobliżu jednego ze zrujnowanych filarów, tam, gdzie była przymocowana łódź. Zaczął szybko i nerwowo walczyć z liną obwiązaną wokół kamiennego słupa.

– Przeklęty człowiek! Sprowadzi na to miejsce gniew bogów! Przebudzi smoka... – przemawiał sam do siebie nerwowo, walcząc z liną, która nasiąkłszy wilgocią, ślizgała się w jego starych, niesprawnych rękach niczym wyciągnięty z wody węgorz.

Sięgnął do kieszeni po swój rybacki nóż, aby przeciąć wilgotną linę, ale wtedy coś przykuło jego uwagę. Woda była płytka, sięgała mu ledwie do kolan, jednak coś dziwnego się w niej znajdowało. Tuż przy łódce. Niedaleko Toreda. W mętnej, zielonkawej cieczy dało się z bliska dostrzec wielki czarny cień.

Potworna głowa wynurzyła się z wody i wylupiaсте żółte ślepia zwróciły się ku Toredowi.

Stary zrobił niepewny krok do tyłu, w kierunku łądu.

Woda eksplodowała.

Łódka odskoczyła, tańcząc na fali wywołanej przez nagły atak, a stary człowiek, uderzony przez wielki pysk, który na szczęście nie zdołał go pochwycić, poleciał do tyłu. Wylądował na ziemi kilka długości dalej, obcierając sobie dłonie do krwi i wypuszczając z rąk nóż, który zniknął gdzieś pomiędzy kamieniami.

Żarłacz bagienny – to właśnie ta monstrualna, przypominająca żabę kreatura, o masywnych kończynach i wielkiej, szerokiej paszczy, wyłoniła się z wody. Była większa od wołu, a jej groteskowe kończyny i wysoko ustawione, spiczaste barki sprawiały, że posturą przypominała ogromną małpę o obwisłym, tłustym cielsku. Skóra stwora była oślizgła i gumowata, z wyjątkiem grzbietu i szczytu głowy, tam była bowiem pokryta kostnymi płytkami, pomiędzy którymi rosły bagiennie glony i mech, upodabiając ją tym samym do pnia drzewa. Paszcza kreatury była tak szeroka, że zmieściłby się w niej cały człowiek. Rozwarła się właśnie, ukazując tępe, masywne zęby. Tuż za ohydny łbem stwora wysunęły się blade, obleśne macki, prawdopodobnie jakieś skrzel, które teraz, gdy gad otworzył paszczę, zaczęły się wic w rytm jego ciężkiego oddechu.

Tored nie znalazł tego bagiennego drapieznika. Wiedział jednak, że musi to być jedna z licznych potworności, jakie powstały po tym, jak magia uwolniła się z barier. Jednego natomiast mógł być pewien – stał się ofiarą, a ten stwór wielkim drapieżcą, który obrał go za cel. Stary zaczął pełznąć w tył, i nieporadnie cofając się od istoty.

W tym samym momencie, gdy Tored zaczął nabierać dystansu względem monstrum, to otworzyło szerzej swoją czarną paszczę, z której wystrzelił mięsisty jęzor. Atak był błyskawiczny, dla przerażonego starca nie do uniknięcia. Język w jednej chwili obwiązał się wokół nogi rybaka. Stary

zaczął wrzeszczeć wniebogłosy, gdy małe kostne haczyki wieńczące koniec języka wbiły się głęboko w jego ciało.

Mężczyzna, jęcząc z bólu, próbował szarpać się na boki, gdy język potwora naprężył się i zaczął cofać – przyciągając Toreda bliżej paszczy. Pysk poczwary wykrzywił się jakby w uśmiechu, zdradzając tym samym wielką satysfakcję, jaką kreatura czerpała z zadawania ofierze bólu i z perspektywy posiłku.

Właśnie wtedy pomiędzy Toredem a potworem pojawił się Strażnik. Jednym, szybkim ruchem przeciął swoim wielkim mieczem język potworowi, który pękł niczym napięta lina.

Szamocząc się i bryzgając zieloną krwią, ozór stwora schował się do paszczy. Potwór wydał z siebie gniewny syk, gdy zielona flegma zaczęła toczyć się z jego pyska. Tored wrzeszczał, ale już nie z przerażenia. Wszystko, co wykrzyczał, skierowane było pod adresem Strażnika:

– Ty głupcze! To twoja wina! Obraziłeś Władców Bagien! Smok zaczyna się budzić! To jego pomiot! Przybędzie ich więcej! Wyczuwają, że ich pan się budzi! Za nimi przybędzie sam smok! Dopadnie cię, a przez twoją bezmyślność i ja pewnie zginę! Mam nadzieję, że umrę szybko, podczas gdy ty będziesz przez długie dni trawiony w żołądku smoka!

Strażnik nie zareagował na te słowa. Jego płaszcz tańczył lekko na wietrze, gdy zrobił trzy kroki w tył, by nabrać dystansu do kreatury. Jego dłoń pewnie dźmierzyła oręż, a spojrzenie utkwione było w żarłaczku. Zielona flegma wciąż sączyła się z ohydneho pyska, ale stwór już szykował się do ataku.

Napiął grube mięśnie swoich kończyn i w jednej chwili wybił się do góry niczym wielka żaba. Pędził na rycerza jak wystrzelony z katapulty głaz, z szeroko rozdziawioną paszczą. Strażnik, mimo ciężkiej zbroi, z gracją wykonał unik, nie dając się powalić stworowi, który z hukiem opadł na ziemię tuż obok niego. Strażnik szybko doskoczył do potwora, nim ten zdążył się obrócić, i zaczął ciąć obłe cielsko po tylnej kończynie i grzbiecie. Poczwara zaryczała z bólu i odwróciła się pyskiem w kierunku młodzieńca. Mężczyzna tylko czekał na

ten moment. Szerokim cięciem znad głowy uderzył tak, że oręż spotkał się z gębą stwora, który odwracał się w jego stronę.

Miecz zagłębił się w głowie żarłacza.

Jednak niewystarczająco głęboko.

Kostne płytki na łbie kreatury, imitujące zbutwiałe drzewo, stawiały większy opór, niż można było zakładać. Miecz ugrzązł w czaszce, krew buchnęła obficie, ale bestia wciąż żyła. Rozwścieczona, dotkliwie ranna, zaczęła ryczeć, szarpać się i machać łapami na wszystkie strony. Zamachnąwszy się, uderzyła w tors Strażnika z taką siłą, że ten poleciał do tyłu, puszczejac ostrze, które cały czas wystawało z głowy stwora niczym kostropaty róg.

– Dobra, przyznaję, należało mi się. Poczulem się zbyt pewnie – powiedział do siebie młodzieniec, zbierając się z ziemi. Wylał krew z kącika ust. Nabral powietrza w piekące płuca, by po chwili stwierdzić z ulgą, że jego pancierz nie został przeбитy, ale nie wiedział, czy nie ma połamanych żeber.

Świat wokół niego wciąż jeszcze wirował, mimo to spróbował szybko ocenić sytuację.

Potwór, dotkliwie ranny, zdawał się ignorować swoje obrażenia i wystający mu z kostropatego łba wielki kawał stali. Nie chciał już walczyć ze Strażnikiem, wybrał pewniejszą zdobycz. Szybko pełzył w stronę okaleczonego Torreda. Prawdopodobnie z zamiarem pochwycenia go i zabrania w mętne wody mokradła.

– Zostaw mnie! Bierz łódkę, durniu, i wynoś się stąd! – krzyczał stary, widząc, że Strażnik został pozbawiony broni, a śmierć pomiędzy wielkimi szczękami kreatury nieuchronnie zbliża się do niego.

– Obrażasz mnie, myśląc, że tak zrobię – powiedział głośno Strażnik, splatając dłonie i palce – nie byłbym wtedy wart Świętego Płomienia. – Spuścił lekko głowę, przybierając pozę jak do modlitwy, i zaczął recytować coś pod nosem.

Potwór był już nad starcem. Bestia uniosła łeb, obnażając kły, a jego blade skrzela drżały niczym setki ogonów grzechotników. Rybak rozpaczliwie zasłonił się rękami.

Wtem żarłacz znieruchomiał. Miecz, wbity w jego łeb, nagle zaczął pokrywać się złotymi, gorejącymi symbolami, które tańczyły po całej długości miecza jak żywy płomień. Bestia miotła się na boki, wydając z siebie żalosne syki, i próbowała nieporadnie i bezskutecznie sięgnąć grubymi łapami po ostrze pokryte świętymi znakami.

– Każdy Strażnik jest ostrzem w rękach swego boga. Tak samo ja i mój oręż stanowimy jedność – powiedział młodzieniec, kończąc inkantację. Stary odsłonił lekko ręce, by z niedowierzaniem popatrzeć na to, co przyniosło mu ocalenie. Zobaczył, jak Strażnik, zakańczając modlitwę, otwiera lekko oczy, lśniące tym samym blaskiem, co jego miecz. W tej samej chwili oręż wbity w łeb kreatury rozblęsnął jasnym, intensywnym światłem.

Słysząc było głośny trzask, jak przy rozłupywaniu orzecha, a poprzez oślepiający blask dało się zobaczyć odlatujące na wszystkie strony wielkie fragmenty czaszki stwora.

Strażnik powoli ruszył po swój miecz, który cały czas jeszcze lekko lśnił od dogasających świętych run. Gdy rycerz podniósł go z ziemi, był czysty, jakby krew i kawałki mózgu złej istoty nie skalały błogosławionej stali. Spojrzał na truchło kreatury, która miała głowę rozłupaną tak, jakby ktoś przejechał po jego czaszce wielkim pługiem.

– Wracaj do mrocznej Otchłani, z której przywiodła cię magia – powiedział chłodno młodzieniec i wbił miecz w martwe cielsko. Święte symbole znów załśniły złotymi płomieniami, które po chwili przeskoczyły na truchło, by zacząć szybko je pożerać w świętym, oczyszczającym ogniu.

– Imponująca robota, Strażniku – ocenił Tored, siadając i opierając się o jedno z pobliskich drzew – ale co zrobisz, gdy przybędzie więcej tych stworów? Z tym jednym miałeś problem... Obraziłeś Władców Bagien! Nie ochronią cię przed smokiem i jego sługami.

Strażnik założył miecz na plecy i ruszył pewnym krokiem w stronę rybaka. Grunt chrzęścił pod metalowymi butami, gdy szedł w jego kierunku ze spojrzeniem, które Tored już potrafił rozpoznać, a które oznaczało

kłopoty. Stary zasłonił się odruchowo ręką, jakby zaraz miał nadejść cios, ale nie porzucił swojej śpiewki.

– Smok powstanie i cię dopadnie. Dopadnie cię, mały rycerzu – wyskamdłał.

Strażnik ukląkł przy nim na jedno kolano. Silną dłoń, ubraną w metalową rękawicę, zacisnął na ranie Toreda. Chwytał tak mocno, że z poszarpanego okaleczenia pociekła krew, jak ze świeżo wyciskanego owocu.

Tored zawył tak, że jego krzyk zdawał się rozbrzmiewać nad całą wyspą.

Stary człowiek skamdłał, płakał, wił się i przeklinał, ale rycerz ani na chwilę nie puścił gorejącej rany.

– Wiesz, kim ty jesteś, Tored? – zagadnął, patrząc swoimi błękitnymi oczami pełnymi potężnej wiary prosto w zapłakane oczy rybaka. – Człowiekiem, który uciekł z mokradeł, bo nie był w stanie tu żyć, walcząc codziennie o przetrwanie, ani nie wytrzymał presji, jaką nakłada na wszystkich Rygor i jego ohydni Czterej Bogowie. Którzy na każdym kroku twojego nędznego życia mówili ci, co masz robić, jak nędznym człowiekiem masz się stać, aby żyć jak robak w mule. Bo tego właśnie oczekują bogowie bagniarzy, aby ludzie stali się marni i żałośni, bo tacy, bo tacy ludzie są potrzebni tej wierze. Tak samo pożałowania godni i bezmyślni jak ich wiara oparta na urojeniach i zabobonach. Ty nigdy nie zmierzyłeś się z tym, nie próbowałaś odnaleźć innej drogi, chociaż na pewno, tak jak każdy człowiek, czułeś w tym jakiś fałsz. Uciekłeś z bagna, ale nadal masz w sobie ten syf, który wiali ci w głowę. Boisz się ich nędznych, upadłych bogów, w głębi duszy wiedząc, że od dawna nie istnieją. To miejsce cię przeraża. Obawiasz się, że jak złamiesz którąś ze starych zasad, to całe bagna obróć się przeciwko tobie. Popatrz na siebie, jesteś jak małe dziecko w skórze staruszka, które zostało zamknięte w szafie z potworami zrodzonymi dawno temu w wyobraźni!

Gdy skończył mówić, moc zesłana mu przez jego boga przeszła na jego dłoń i stamtąd niczym ożywcza woda spłynęła falą na poszarpaną nogę Toreda, scalając ranę, splatając rozerwane mięśnie i odnawiając skó-

rę. Strażnik puścił nogę rybaka. Cały czas patrzył w jego oczy, które, pomimo uśmierzenia bólu, wciąż ociekały łzami. Młodzieniec zobaczył w nich, że jego słowa mocno zraniły Toreda. Niczym rozgrzane, katowskie ostrze wniknęły głęboko w duszę staruszka i wyciągnęły na wierzch jego najgłębiej skrywane lęki i żale. Wszystkie te okropności, których tak bardzo się obawiał, wypelzły na wierzch, sprawiając, że Tored poczuł się mały i przestraszony.

Strażnik już to kiedyś widział. Lata temu. Dusza rozsadzana na strzępy strachem, bezsilnością i poczuciem winy. Wstrząśnięta w obliczu prawdy o sobie samym już nigdy nie będzie taka sama, jak była przed przybyciem na tę wyspę – albo rozpadnie się zupełnie i zgnędniej, albo odnajdzie w sobie dość siły, aby poskładać się na nowo, scalić i uszlachetnić – niczym roztrzaskane w boju ostrze, wrzucone w płomień i rozbijane przez kowalski młot, aby powstało na nowo. Lepsze, bardziej niezawodne, ostrzejsze i wytrzymalsze.

Młotem Strażnika była wiara, dana mu niegdyś przez Veltriuma. Nie wiedział, czy stary człowiek znajdzie w sobie tyle siły, co on. Nie wiedział nawet, czy zrozumie głęboki sens tego, co się stało. To już nie było jego zadanie. On na tej wyspie wypełnił wolę swego boga, odsyłając jedną złą duszę do Otchłani, a drugiej pokazując, że jest we własnym piekle i musi poszukać swego ocalenia.

Strażnik wstał z kolan i dopiął swój płaszcz. Pomógł podnieść się staremu.
– A teraz zabierz mnie do Bermeld.



Dalszą część podróży odbywali w spokoju, wbrew temu, co z takim przekonaniem mówił Tored, gdyż żaden z domniemanych popelczników smoka nie zaatakował ich ani też sama pradawna gadzina nie wysunęła z wody swego gigantycznego łba. Płynęli w ciszy. Strażnik siedział, czyszcząc swój wielki miecz i recytując pod nosem modlitwy, podczas gdy stary człowiek na powrót zajął się wiosłowaniem. Jego

ruchy nie były już tak nerwowe i niepewne jak tuż po opuszczeniu Smoczej Latarni. Słońce stało wysoko na niebie, tak że przez gałęzie docierały do nich jego promienie.

W pewnym momencie na linii utworzonej przez bagienne drzewa wyłoniła się sylwetka wysokiej kamiennej baszty. Wieża portowa, w której w nocy zapalano światło, aby wracający z połowów mieszkańcy nie zbłądzili na mokradłach. W miarę jak się zbliżali, wieża rosła, a za nią wyłaniał się duży, drewniany port, z którego tu wyrastała niczym wielkie drzewo. W końcu dotarli do Bermeld. Nawet stąd można było dostrzec czarną, drewnianą palisadę, otaczającą osadę, i wystające zza niej nierówne dachy budynków.

– Bermeld, mój panie, jedyny bastion ludzi na Upadłych Mokradłach i niejednokrotnie ostatnia przystań dla wielu wędrowców na tyle głupich, by się tutaj zapuszczać.– Tored powiedział to sarkastycznym tonem, który wyszedł mu wyjątkowo naturalnie.

Strażnik niespodziewanie rzekł z goryczą:

– Dobrze jest wrócić do domu



Dotarli do pustego mola. Strażnik przeszedł pewnym krokiem na kładkę, gdy tylko łódka wystarczająco się do niej zbliżyła. Pomost był naprawdę dużą i długą strukturą, lecz swoje najlepsze lata miał już za sobą. Wyglądał na zaniedbany, ale drewno jeszcze nie butwiało. Deski lekko jęczały przy każdym kroku, jednak sama konstrukcja była stabilna.

Nie kręcił się tu żaden człowiek, a zacumowane przy molo trzy rybackie łódki wyglądały na nieużywane od dawna. Znad rozlewisk zaczął się podnosić gęsty, mleczny opar. Cały pomost wyglądał teraz, jakby prowadził do miasta duchów, wrażenie to potęgowały skrzypiące przy każdym kroku belki. Mężczyzna wykonał dwa kroki do przodu i wtedy gęste opary stały się bardziej przejrzyste, a oczom Strażnika ukazało się to, co skrywało się we mgle. Zobaczył wyraźnie palisadę, która – zbudowana z grubych belek

z metalowymi wzmocnieniami – wyglądała solidniej niż w niejednym forcie czy grodzie, jakie widział. Z bliska za tą zaporą nie było widać żadnych domostw. Jednak nie to przykuło jego największą uwagę. We mgle coś się kryło. Jakieś niewyraźne cienie. Mroczne sylwetki szybko okazały się małymi postaciami.

Dzieci. Był tam ich cały tłumek. Wszystkie ubrane w podarte nędzne stroje, o brudnych twarzach, stały na końcu mola i przypatrywały się mu w milczeniu. Z ich dziecięcych ekspresyjnych twarzy dało się wyczytać zaciekawienie, napięcie i wielki strach.

Było oczywiste, że spodziewano się jego przybycia. Właśnie wtedy Strażnik uświadomił sobie, że Tored nie kwapi się do zejścia na ląd i przy-mocowywania łódki.

Strażnik odwrócił się do niego.

Stary stał w swojej łodzi z opuszczoną głową, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

Zrozumiał, że go oszukano. Stary człowiek musiał wiedzieć o czymś, o czym rycerz zapewne dopiero teraz się dowie.

– Przepraszam – powiedział cicho Tored. – Ja... Ja... Gdybym wiedział wcześniej...

Nie skończył, bo coś odwróciło uwagę rybaka i rycerza. W tłumie nastąpiło jakieś poruszenie.

Zgromadzenie rozproszyło się, zanim Strażnik zdążył coś powiedzieć albo przyjrzeć się dokładniej jakiejś konkretnej twarzy. Dzieciaki biegły szybko wzdłuż palisady, by niknąć w gęstej mgle niczym zjawy. Zza topniejącego prędko tłumy dało się dostrzec inne postacie, powoli zmierzające w jego kierunku. Ich kroki były głośnie i dudniące, typowe dla ciężkich, okutych butów. Po chwili dało się ujrzeć kilka sylwetek wyraźnie odcinających się od reszty tłumy. Wszystko za sprawą ich zbroi o charakterystycznej barwie zaschniętej krwi.

Oddział wojskowy. Wszyscy w lekko wyblakłych czerwonych pancerzach. Siedmiu ludzi, uzbrojonych w miecze, tarcze, wielkie topory, a dwaj

z nich ściskali w dłoniach muszkiety z długimi ostrzami wyrastającymi z luf. Strażnik nigdy nie przepadał za bronią palną, twierdząc, że jest niehonorowa, ale nie sposób było odmówić jej skuteczności.

Czerwona Stal. Najemnicy, o których tyle słyszał.

Czekali na niego. Uzbrojeni i gotowi do walki.

Odwrócił się w stronę Toreda, rzucając mu pełne pogardy spojrzenie.

Staruszek karnie spuścił głowę, nie próbował szybko odpłynąć ani nie szukał słów na swoją obronę. Przygarbił się, jakby poczucie winy go przygniatało. Nie zauważył, że spojrzenie Strażnika się zmienia.

– Wynoś się – powiedział ostro Strażnik.

Mężczyzna oparł nogę o łódkę i z całej siły odepchnął starą krycę, tak że stary musiał złapać się burty oburącz, żeby nie stracić równowagi.

– Po prostu wynoś się stąd, głupi staruszku. Zrobiłeś swoje.

Rybak odzyskał równowagę i popatrzył na rycerza, ten przez chwilę mierzył go srogim spojrzeniem, nakazującym wykonanie jego polecenia. Jednak w tym wzroku dało się wyczytać coś jeszcze, co Tored dostrzegł w Strażniku po pobycie na Smocznej Latarni – litość, zwykłą ludzką litość i zrozumienie. Rybak pojął, że młodzieniec próbuje raz jeszcze uratować mu skórę, robiąc to w sobie właściwy sposób. Strażnik doskonale wiedział, że ci ludzie nie będą go potrzebować, skoro zrobił swoje. Nic dla nich nie znaczył, a mógł być potencjalnie niewygodnym świadkiem, który wiedział za dużo o tym, co dzieje się w wiosce.

Tored rozumiał doskonale, co powinien zrobić. Chwycił pewnie wiosło...

Strażnik usłyszał plusk wody, gdy mała łódka szybko się oddalała. Jednak już nie patrzył w stronę Toreda. Zwrócił się w kierunku zbliżających się żołnierzy. Wszyscy byli krępej budowy i szli ciężkim marszowym krokiem, ich ogorzałe twarze – jeśli nie były akurat zasłonięte przez przyłbice hełmów – były poorane ohydnyymi bliznami. Gdyby nie czerwone, ćwiekowane pancerze, tak charakterystyczne dla ich formacji, wyglądałoby jak typowe rzezimieszki, z których podobno Czerwona Stal i tak werbowała większość swoich rekrutów.

Jednak rycerz szybko zauważył, że się wahają. Nie śpieszyli się i często popatrywali jeden na drugiego, zdradzając tym samym, że wbrew pozorom nie czują się tak pewnie. Zachowywali się jak sfora wilków podchodząca do niedźwiedzia – opanowani, ale uważni, w każdej chwili gotowi do walki lub ucieczki. Ucieszyło to Strażnika: najpewniej uda się uniknąć rozlewu krwi. Miał ochotę sprawdzić swoje umiejętności szermiercze w konfrontacji z najemnikami o tak podłej, ale zasłużonej reputacji, ale wolał, aby ten czas jeszcze nie nadszedł. Nie na oczach tylu gapiów, którzy wciąż kręcili się przy molo. Nie chciał afiszować się ze swoją przynależnością do Zakonu oraz ujawniać zbyt wcześnie celu, w jakim tu przybył. Im mniej oczu będzie na niego spoglądać i wiedzieć, kim jest, tym lepiej. A ci najemnicy najwidoczniej chcieli załatwić sprawę dyskretnie i bez świadków. Na pewno nie będą próbowali go tu zabić. Inaczej nie zadawaliby sobie tyle trudu z dostarczeniem go na opuszczony pomost, praktycznie pod bramę miasta, i nie bawiliby się w tę nędzną demonstrację siły.

Mimo całej tej sytuacji Strażnik czuł ponurą satysfakcję – oddział najemników wychodzący mu naprzeciw, skierowanie go w odludną część osady, wmanewrowanie w to starego rybaka Toreda, cała zawiła sieć informatorów i konspiratorów, która musiała za tym stać – wszyscy traktowali go tak poważnie!

Grupa zatrzymała się, a jeden z z jej członków – mężczyzna o piwnych oczach i haczykowatym nosie, bo tylko tyle dało się dostrzec zza przyłbicy, która przysłaniała jego twarz, ostrzegł:

– Lepiej nie sięgaj po swój wielki miecz, tutaj nie przepadają za takimi jak ty. – Najemnik uśmiechnął się szyderczo.

– A przepadają za bandą najemników? – spytał rycerz beznamiętnym tonem.

– Wiedzą, co i komu zawdzięczają... Wypędziliśmy jaszczury, już nie muszą walczyć z nimi o każdy skrawek mułu...

– Ale na budowie pod waszą protekcją już nie wyszli tak dobrze. – Strażnik odpowiednio mocno zaakcentował słowo protekcja. – Droga do Bermeld jest długa i kręta, i przemierzając ją, można zobaczyć sporo trupów.

Najemnik pewnym ruchem ręki chwycił go za poły płaszcza i przyciągnął do siebie, tak że Strażnik poczuł smród jego cuchnącego oddechu. Wściekłość aż go rozpiełała, ale dał radę zdusić ją w sobie i nie pokazywać nic po sobie. Czekał.

– Słuchaj, Wstęgo. Jesteśmy tu, bo wójt Deroth nas zaprosił i sowicie płaci za to, żebyśmy wykonywali jego dziwaczne zalecenia. To, że tu dotarłeś i nie zniknąłeś gdzieś na bagnach, jest tylko i wyłącznie jego życzeniem. Nie wiem czemu, ale z jakichś powodów chce się z tobą widzieć.

Zrozumiał, że mimo wszystko dotrze do źródła szybciej, niż zakładał. Może uda mu się poznać odpowiedzi chociaż na kilka nurtujących go pytań, a przynajmniej uwolni się od tego irytującego psa wojny.

– Dobrze, a zatem zabierzcie mnie do niego – powiedział spokojnie Strażnik.



Tored w swojej małej rybackiej łódeczce obserwował z daleka, co dzieje się na moło. Kilku najemników, jego niedoszłych pracodawców, którzy hojnie zapłacili mu za zapewnienie Wstędze transportu do Bermeld, na oczach wielu mieszkańców miasteczka odprowadzało dokądś chłopaka. Nikt z zebranych przed pomostem nie zareagował, nic nie powiedział. Po prostu się gapili.

Niebawem Strażnik zniknie z jego oczu. Dziwny pasażer, którego znał tak krótko, ale był pewien, że zapamięta go do końca życia. Będzie miał teraz sporo czasu na przemyślenia w miejscu, do którego zamierzał się teraz udać.